

Zdzisław Stankiewicz



Igraszki z losem

Pisane od roku 2005 pod pseudonimem Emerytos Bidoklepos. Od wczesnej okupacyjnej młodości na tajnych kompletach jestem zachwycony Antykiem. Nauczyciel łaciny, znakomity autor podręczników dla szkoły średniej, Stefan Staszczuk, potrafił nas zachwyć swoim przedmiotem. Nie wiem, jak inni, ja łacinie i grece wierny pozostałem do dziś, chociaż zostało po nich niewiele w pamięci. Żartobliwy pseudonim literacki powstał wyniku licznych konsultacji z Czytelnikami bloga pisanego w latach 2005- 2009.

Εμερυτος Βιδοκλεπος



Publikacja niekomercyjna
Z okazji XV rocznicy uzyskania
stopnia doktora

Zdzisław Stankiewicz

Wydawca Jan Maziejuk

Skład i druk: Biuro Lokalnych Wycieczek „Wehikut Czasu” Marcin Barnowski
Ustka, 2016 r.

Nakład 3 egz.

WERSYTET KARDYNAŁA STEFANA WYSZYNSKIEGO
W WARSZAWIE

WYDZIAŁ NAUK HISTORYCZNYCH I SPOŁECZNYCH

DYPLOM

ZDZISŁAW TADKUSZ STANKIEWICZ

dnia 20 LUTEGO 2001 roku

WYDZIAŁ NAUK HISTORYCZNYCH I SPOŁECZNYCH

na podstawie przedstawionej rozprawy doktorskiej pod tytułem
ROLE SEMINARIÓW NAUCZYCIELSKICH NA POŁNOCMO - WSCHODNICH
KRAJACH POLSKI W LATACH 1919 - 1939. *

po złożeniu przepisanych egzaminów uzyskał stopień naukowy

DOKTORA

WYDZIAŁ NAUK HISTORYCZNYCH I SPOŁECZNYCH

na uchwałę Rady WYDZIAŁU NAUK HISTORYCZNYCH I SPOŁECZNYCH

20 CZERWCA 2001 roku

Przewodniczącym w przewodzie doktorskim był

DR HAB. ROMAN TORAŚ

Zastępcami w przewodzie doktorskim byli

DR HAB. KALINA BARTMIŃSKA

DR HAB. BOHDAN CYWILSKI, PROF. UKŁW

17 WRZEŚNIA

2001 rok

Spis treści

Zdzisław Stankiewicz	1	Dotrzeć do gwiazd	33
Wstęp	7	Co jest za tą bramą?	34
Rozdział pierwszy. Mój Los	8	Gwiazdny pył	35
Los pokolenia	8	Noos to gwiazdny pył?	36
Czym jest Los?	9	Astrologia i astrologowie	36
Życie to teatr	11	Villon	37
O pokorze wobec Losu	12	Święty Graal	37
Weź los w swoje ręce	13	Czym jest Święty Graal?	38
Los i przeznaczenie	13	Legenda Kresów	39
Konkurent czy koalicjant	14	Znad Szczary nad Stupię	40
Moje patriotyzmy - mój Los	15	Kraków - moja miłość	40
Dzieło na miarę epoki	15	Cmentarze między dawnymi a nowymi czasami	41
Pomnik Okulisty	16	Nad starą fotografią	42
Patriotyzm nowego wieku	17	Tania	43
Pod samowarem	17	Rozdział czwarty. Mój stres mój Los	45
Los i przeznaczenie	18	Zwalczyć stres	45
Los jak spadek	19	Gdy świat się wali	45
Się porobiło!	19	Moje cierpienie moim Losem	45
Rozdział drugi. Rozmyślenia wieczorne	21	Stres to mój Los	45
Rozmyślenia o opuszczonych gniazdach	21	Jak wyjść z dotka?	46
Rozmyślenia o przemijaniu	21	Kresowe drogi	46
Rozmyślenia o radości	22	Różności	48
Rozmyślenia o dłoniach	22	O duchach	48
Radość twórcza seniorów	24	O diabłach	49
Problemy nieprofesjonalnej twórczości	24	Dzień w kolorze śliwkowym	50
Definicja sensu życia	26	Co zostało z tamtych lat?	50
Twórczość poetycka	26	Postowie. Czego nie żal, czego szkoda	51
Twórczość plastyczna	27	Moje porachunki z Losem	54
Seniorska satysfakcja	27	Pożegnanie z Losem	54
O szczęściu	27	O pokorze wobec Losu	56
O przemijaniu	28	Ludzie ludziom	56
Starość nie radość	28	Znaczy Witaj	57
Co na starość?	29	O przemijaniu	58
Pora na seniora	29	Los jak spadek	59
O wartości czyli afirmacji życia	30	Pomnik okulisty	59
Kartka z kalendarza	30	Czyń ziemię sobie poddaną	60
Dwudziesty pierwszy wiek	31	Zrozumieć świat	61
Prosto z Sokratesa	31	O mnie	62
Dajmon	31	Mój dorobek	63
Sumienie	32		
Rozdział trzeci. Moje fascynacje	33		

Wstęp

Pierwszy raz z pojęciem losu spotkałem się w gimnazjum. Miałem wtedy pewnie szesnaście lat. Wtedy, jeszcze w gimnazjum, były obowiązkowe lekcje śpiewu z oceną na koniec roku. Dobrze wspominam ten program. Lekcje śpiewu nie ograniczały się tylko do nauki śpiewania, ale dawały ogólną wiedzę o kulturze muzycznej. Nauczyciel śpiewu był zobowiązany do uprawiania muzyki. Najczęściej były to skrzypce. Pan profesor śpiewu, nakazał mi śpiewać w szkolnym chórze. Ten szkolny chór wykonał niestetychance trudną pieśń, chorał Stanisława Kazury, Mewy, ze słowami Edwarda Słońskiego. Tego tekstu dokładnie nie pamiętam, wszak to miało to miejsce siedemdziesiąt lat temu. Dziś wiem, że jedyny egzemplarz tej pieśni z zapisem nutowym znajduje się w Bibliotece Jagiellońskiej. Słowa cytuję z pamięci.

*Przedemną mewy, lecąc
na wodzie kładą cię,
ogniową tuną świecąc,
za dniem umiera dzień.*

*Tam, gdzie się tony pałą,
stąd idzie do mnie głos.
Tam za dziewiątą falą
Twój zatopiono los.*

*Mgły się pokładły nisko,
Na niebie księżyc zbladł.
Zda się tu Bóg tak blisko,
A tak daleko świat.*

Dwie strofki poniżej, pisane kursywą, nie wchodzą w skład pieśni. Przytaczam je, bo są w wierszu Słońskiego, a ja je zapamiętałem.

*Mijają dni za dniami,
zawodzą wichry w głos...
Daleko pod falami
na dnie mój leży los!*

*Więc płynę dalej, dalej
pod zorzę po swój los,
by na dziewiątej fali
ten sam usłyszeć głos.*

Pamiętam też, że zaintrygowała mnie ta dziewiąta fala, za którą zatopiono los. Znalazłem ją wprzód w słowniku rosyjskim Ożegowa, potem u Kopalińskiego. Oto dziewiąta fala u Ożegowa: *Bardzo wysoka fala. Fale się pienią. Dziewiąta fala. (fala najsilniejsza i wzburzona. Według starych podań - złowieszczą dla pływających po morzu)* tłum. moje

Великая, высокая волна. Пенимая волна. Девятая и самая сильная и бурная волна, по старинным преданиям — зловещая для мореплавателей.

A tak Kopaliński objaśnia ową dziewiątą falę: *Istnieje nieuzasadniony pogląd, że fale płyną do brzegu seriami, z których każda kończy się falą najsilniejszą i że jest nią właśnie dziewiąta (według innych dziesiąta) fala.* W Internecie tak zapisano to zjawisko: **Dziewiąta fala, nieuzasadnione naukowo powszechne zjawisko występowania jednej fali wyższej po kolejnych ośmiu niższych.** Tę dziewiątą falę możemy spotkać w literaturze światowej. Np. pojawia się w tytule *Za dziewiątą falą. Księga legend irlandzkich* Marie Heaney; korzystałem z niej w poszukiwaniach legend arturiańskich.

U Ajwazowskiego aż kilka obrazów pod tytułem *Dziewiąta fala*. Pokazują katastrofę morską. Oto opis jednego z nich: obraz jest bardzo kolorystyczny i od razu rzuca się w oczy. Na obrazie dominują żywe barwy takie jak czerwień, pomarańcz, zieleń, żółć jak również kolor czarny. *Obraz przedstawia prawdopodobnie burzę na morzu, widoczne są wysokie, wzburzone fale, a wśród nich resztki statku z garstką ludzi. Obraz jest bardzo żywy i realistyczny. Wzbudza uczucie tajemniczości, grozy, strachu, powagi.*

Był to malarz marynista, ogromnie płodny. Kilka jego obrazów widziałem. M.in. w muzeum w Kijowie, w Symferopolu, także w Berlinie. Jest też Ajwazowski w muzeum w Słupsku.

We wczesnej młodości znalazłem się w nadmorskim Gdańsku. Całe dorosłe życie, (wyjąwszy czas studiów) spędziłem nad morzem. Mogę zatem określić swój los jako zatopiony za dziewiątą falą.

Rozdział pierwszy.

Mój Los

*Moje imię CZŁOWIEK.
Nie jestem na ziemi sam.
Podobnych do mnie są miliony.
Jestem częstką wie (rodziny,
Której na imię
LUDZKOŚĆ
Ks. Jan Zieja*

Los pokolenia

Moje pokolenie, a w nim ja, doświadczyło losu złowrogiego. Każdy z nas przeżył okrutne wydarzenia bez własnego udziału w ich powstawaniu. Każdy - chcąc nie chcąc - brał udział w ich rozwoju bez wpływu na rozstrzygnięcia. Na masową skalę rozegrała się tragedia podobna do antycznej, w której ludzie uczestniczący byli tylko igraszką losu. W greckiej tragedii, los złowrogi, wyznaczany przez bogów, dotyczył tylko jednostki. Męstwo, i duma, ból i cierpienie, choć miały wymiar wszechludzki, dotyczyły tylko pojedynczych bohaterów - postacie nieautentyczne. Dramat ludzkości mego pokolenia mimo iż był udziałem każdego żyjącego, konkretnego człowieka, dotyczył całą zbiorowość. Był losem niewyimaginowanym. Był losem konkretnym. Każdemu przynosił zdarzenia, wobec których było się bezradnym i bezbronnym. Każdy był tylko peryferyjnym, bezwolnym fragmentem wielkich nieznanych wydarzeń.

Repatrianci

Nazwano nas repatriantami, co było wielkim propagandowym kłamstwem. Mówiono nam, że zasiedlając tzw. Ziemię Odzyskane spełniamy czyn patriotyczny, bo wracamy na prastare piastowskie ziemie, mówiono, że one wróciły, bo Armia Wyzwoleńcza spełniła testament Długosza. Wojna, a w jej trakcie decyzje na wielką skalę, opróżniły ziemie i domy trzech milionów mieszkańców. Trzeba było te ziemie zapętnić. Trzeba było zapewnić miejsca dla innych, których z ziemi ojczyznej też wyrzucono.

Dobrze zapamiętałem ten czas. To inny

los. Nie mój los. Wtedy mówiło się: dobrze im tak. Ze złością do pokonanych. To było powszechne. Musiało minąć wiele lat, narodziło się nowe pokolenie; nawet nie wie, że ojczyzna ich dziadków była gdzie indziej.

Wypędzeni

Nie było wtedy refleksji, że dotyczyło to nie tylko nas, Polaków. Opróżniono ziemie i domostwa dla nas, Polaków, dla nas, Czechów, dla nas, Rosjan, dla nas... innych, wyganiając ich - Niemców. Dobrze im tak - wojnę rozpętali, chcieli zagarnąć świat dla swego lebensraumu. Mają za swoje. Nie było wtedy tej refleksji, że tak samo jak nas, niedoła dotknęła ich.

Z miasteczka pruskiego, żyjącego tradycją, gdzie wokół kwitł kult Bismarcka z żelazną nienawiścią do polskich dzieci z Wrześni, które kiedyś strajkowały, zamiast wkuwać niemiecki. Maria uczyła się pisać gotykiem, po szkole chodziła na próby chóru kościelnego, z Gertrud i Helia na wzgórzu zamkowym robiły żywe obrazy, w strojach z epoki deklamowały Goethego. Jeszcze w sierpniu 1945 r. koledzy z Wehrmachtu stali pocztą połową pocztówki z króliczkami i Adolfem na znaczku, że wszystko gra i lada chwila wrócą. Wkrótce weszli Sowietnicy. Niemcy mieli spakować po 20 kg dobytku i zniknąć. Maria z rodzicami została. Usiadła przy maszynie do pisania; do Friedland, obozu przejściowego dla niemieckich przesiedleńców wysłała polecenie. „Nie zrywajcie z Heimatem”. Pisali do niej: *Jak się miewa nasz drogi Heimat, którego nie możemy zapomnieć? Często myślimy o tym, co słychać w domu? Czy ciągle u nas ktoś mieszka? To jedyne życzenie - być tam znowu. Jeśli ktoś*

*Jeśli coś się może zdarzyć, zdarzy się.
Jeśli coś się zdarzyć nie może, nie zdarzy się
Prawa Murphy'ego*

mógłby być ptakiem i po prostu wzlecieć, zobaczyć raz jeszcze to wszystko, co jeszcze niedawno było tak bliskie.

Przed bardzo wielu laty, kiedy zwykła nauka w szkole była śmiertelnym zagrożeniem, a ta zwyczajność polegała na uczeniu się wyłącznie „na pamięć”, miejsce nauki, nauczyciel i koledzy byli anonimowi, łacina była przedmiotem nie z tego świata. W tych czasach, nazwanych czasami pogardy, pod kierunkiem Stefana Staszczyka uczyłem się pięknych przemówień parlamentarnych słynnego mówcy sprzed dwu tysięcy lat. Obudzony o północy gotów jestem zawołać „Quo usque tandem abutere patientia nostra!” Jak długo jeszcze będziesz nadużywać naszej cierpliwości, pokazując swoją złość? Nie wiem. Poczekam. Wiem jednak, bom historyk i filozof, że żaden po nim jurysta nie stał się parlamentarzystą tej klasy. Każdy czas ma swojego Katylinę, każdy czas ma swojego Cyncerona.

Uważam, jak wielu, że przypadki mego życia, są moimi własnymi przypadkami i mam rację, jak każdy, kto sądzi podobnie. Bo choć zdarzyły się one wielu jednocześnie, były dla każdego jego własne.

Należę do tego pokolenia, którego dzieciństwo i wczesna młodość były ściśle związane z Żydami. Małe powiatowe miasteczko na Kresach zamieszkiwali Polacy osiedli tam od pokoleń, rodziny oficerów miejscowego garnizonu wojskowego i policyjnego, pracownicy nowej administracji i Żydzi. Tych było tak wielu, że mieli nawet swoją administrację. Potem przyszedł czas okrutny. Zamknięci w getcie przepowiedzieli los innych, mówiąc o niemieckich okupantach, że kiedy skończą z nimi, wezmą się za nas, Polaków. Też pamiętam ten czas, choć byłem gdzie indziej, Ich dzieje, nasze dzieje były tylko igraszką losu, kamieniem przez Boga rzuconym na szaniec.

Czym jest Los?

Czym jest Los, na który się powołujemy? Zawsze obecny w naszym życiu, chociaż nie zawsze zdajemy sobie sprawę z jego obecności. Jest w naszej świadomości, ale przywołujemy go nieczęsto. Najczęściej, gdy przydarzy się nam coś niezwykłego, co zakłóci porządek usystematyzowanego życia. Toczy się ono codziennym tropem „stąd dotąd”, jakby niezauważone, normalne. Zdarzenia jedno po drugim są rutynowe, nawet nie zastanawiamy się nad ich kolejnością, sensem istnienia. Zwyczajna kolej rzeczy, że po przebudzeniu podejmujemy kolejne życiowe czynności, nawet mają one swoją nazwę - są machinalne. Podobnie powtarzają się czynności życiowe całego dnia, co uznajemy za rytm życia, czasem kwitując spostrzeżeniem, że jest dla każdego właściwy, od naszego odmienny. Kiedy zaś nasze zachowanie w ciągu dnia różni się od tego codziennie obserwowanego, mówimy, że wstał lewą nogą. Wtedy zdajemy sobie sprawę, że w jego życiu pojawiła się jakaś odmiana. To w istocie Los się wtrącił, jakiś szczegół drobny odmieniając. Nie zostało to jednak w ten sposób nazwane, choć spostrzeżone. Nie było jednak spostrzeżenia, że każdemu z nas przydarza się wstać lewą nogą. Bo nie ma życia ludzkiego bez losu. W powszechnym osądzie los to coś, co się przydarza przypadkowo, zależnie od wyższej Mocy, a człowiek nie ma wpływu ani na pojawienie się zdarzenia, ani na jego przebieg, ani na uniknięcie, ani na jego skutki. Mieści się w nim ludowe przekonanie o nieuchronności, wyrażane porzekadłem „będzie, co komu sądzone”. Los to metafizyczny byt, wobec którego człowiek jest bezradny, bezsilny i bezwolny. A co z tą rutynową codziennością, nie zauważaną, tą „jak gdyby nigdy nic”? O! zwyczajnie. Los.

Czym jest Los, na który często się powołujemy?

W powszechnym osądzie los to coś, co się przydarza przypadkowo, zależnie od wyższej Mocy, a człowiek nie ma wpływu ani na pojawienie się zdarzenia, ani na jego przebieg, ani na uniknięcie, ani na jego skutki. Mieści się w nim ludowe przekonanie o nieuchronności, wyrażane porzekadłem „będzie, co komu sądzone”.

Kiedyś, przed laty Babcia orzekła, że mam być księdzem albo adwokatem. Nic z tego. Nie byłem nawet blisko. Bliżej mi było do zachwytu ciotki nad moim wypracowaniem z drugiej klasy. Miało bowiem zawierać wyrazy z literą „ó”. Nie pamiętam, jak mi ogórek pasował do wiewiórki, ale dostałem piątkę i najwyższe uznanie u ciotki - zdaje się, była analfaberką.

*Hej, tam pod lasem
Coś błyszczczy z dala,
Banda Cyganów
Ogień rozpala
Ref.*

*Bums tradi radi
bums tradi radi
bums tradi radi
u, cha,cha!
Bums tradi radi
Bums tradi radi
Bums tradi radi
Bęc!*

*Ogniska palą,
Strawę gotują,
Jedni śpiewają,
Drudzy tańczą
Ref.*

*Bums tradi radi
bums tradi radi
bums tradi radi
u, cha,cha!
Bums tradi radi
Bums tradi radi
Bums tradi radi
Bęc!*

Stara piosenka, dawno zapomniana, bo dawno już los Cyganów się odmienił.

Nawet Cyganami się już nie nazywa ludzi o odmiennej obyczajowości, odmiennym życiu, odmiennym losie. Przeżyłem tyle lat, aby zapamiętać tabory wędrujące polskimi drogami, Cyganki siadające na ławkach, by przechodniom w parku opowiadać czytane z dłoni ich losy. „A tyle będziesz miał dzieci, kochany, ile pieniążków na dłoni potożysz” przepowiadała mi stara Cyganka swoim głosem niskim, gardłowym, ochryplym od tytoniowego dymu. Chyba też ogniskowego. Nigdy już nie zapomnę tego cygańskiego zaśpiewu.

Pamiętam czas, gdy władze państwowe podjęły starania o to, by społeczność cygańską ująć w ramy administracyjne, co nazywano aktywizacją. Nawet całe dzielnice im wydzielano w miastach. Niczym się to kończyło, do dziś dnia ciągną się awantury, bójkki pomiędzy ludnością polską a Cyganami. Nie pomogło nazwanie Cyganów Romami, czyli nadanie im nazwy w ich ojczystej mowie. Romowie osiedli w miastach, z dróg znikły tabory, z lasów obozy wędrowców, o których śpiewała ta piosenka. Dopetnił się ich los. Pisząc o pożegnaniu z Losem, myślę, że oni już dawno temu tego pożegnania dokonali. Jeszcze zachowali dawne obyczaje cmentarne, jeszcze gdzieśgdzie można spotkać cygańskich skrzypków. Jeszcze pozostały grupy cygańskie uprawiające folklor, ale to są już grupy zorganizowane, podporządkowane rygorom urzędniczym. Tych dawnych wędrownych Cyganów już nie ma. Pozostali Romowie. Jeszcze przechowują stare obyczaje, ale to już inna społeczność.



Rysunek 1
Oto trzy siostry - boginie ludzkiego życia

- Los jako zdarzenie z zewnątrz, choć znane, bo oczywiste, to nagłe i niespodziewane.

Każdy wie, że Los jest sprawcą życiowych niepowodzeń, wobec których jest się bezsilnym, bezwolnym i bezradnym. Życiowe klęski dostrzegamy jako wynik działania Losu, tym bardziej, gdy stajemy bezradni i bezsilni wobec niemożności zaradzenia im. Wtedy wywołujemy hasło o złym Losie. To najbardziej rozpowszechniona i najstarsza koncepcja losu ludzkiego.

- Pojmowanie życia ludzkiego jako wyniku działania bogów. Najwcześniejsza znana europejska koncepcja zapoczątkowana przez kulturę antyczną. Trzy boginie, córki Zeusa, trzy siostry - Mojry, decydowały o przebiegu życia i o samym życiu każdego człowieka. Jedna, Kioto, przędała nić ludzkiego życia, druga, Lachesis, przydzielała tę nić każdemu i dbała o jej utrzymanie, trzecia, Atropos, nić tę przecinała, nieodwracalnie kończąc ludzkie życie. Nie napisano tego wprost, ale wgląda na to, że każdy miał te swoje trzy Mojry. To nieubtagnane i nieustępliwe córki okrutnej i uznanej za złośliwą Ananke.
- Nieuchronność początku i końca życia człowieka to rodowód współczesnego przekonania. Bo los człowieka zaczyna się narodzinami, a nieuchronnie kończy zgonem. Tylko te dwa wydarzenia w życiu są znane, choć nie są znane ich daty. To właśnie narodziny i śmierć są ludzkim przeznaczeniem, a inne przeznaczenie nie istnieje. To przekonanie trwa w nas, od kiedy istniejemy jako ludzie po dzień dzisiejszy. Jest najtrwalsze ze wszystkich przekonań.

- Los jako wynik zdarzeń początkujących, porządkujących i utrwalających życie człowieka na długie lata. Różni rozmówcy, wywodzący się zarówno z elity jak i z grona tzw. szarych ludzi wskazują na to, że u początku ich dorosłego życia był przypadek. Przeczytana książka, wybitna osobowość nauczyciela, postać wyrazista, choć zupełnie Nieznana. Gdy piszę te zdania, a wspominał swoją drogę życiową, to u jej początków jest nauczyciel łączący na tajnych kompletach okupacyjnych, Stefan Staszczuk i nauczycielka języka polskiego, Maria Janiszewska. Pierwszy, autor gimnazjalnych podręczników, tak bardzo przejął

swoją pasją młodego gimnazjalistę, że kultura antyczna jest mi bliska przez całe życie. Pani Janiszewska nauczyła mnie poprawnie budować zdania, czemu jestem do dnia dzisiejszego wierny. W tej kwestii nie mogę pominąć incydentu z Melchiorzem Wańkowiczem. Kiedy na studenckim spotkaniu zwierzyłem się, iż chciałbym pisać jak Wańkowicz, wykrzyknął, Masz pisać jak Stankiewicz, a nie jak Wańkowicz!”, a kieliszek mało mu z dłoni nie wypadł. Staram się, jak Stankiewicz pisać. Zarówno lekcje okupacyjne, jak i przelotne spotkanie z Mistrzem, miały charakter losowy. Wydarzenie z powstania warszawskiego, z którego wyszedłem okaleczony, zawążyło na całym moim życiu, a związane było ze śmiercią lekarza okulisty, który poległ na ulicy Długiej, spiesząc do mnie na pomoc. Do końca życia będę nosił w moim prawym oku Pomnik Okulisty.

- Los jako wynik życiowego wyboru
- Hasło weź los w swoje ręce najczęściej oznacza wybór życiowej drogi, na której końcu znajduje się stopień drabiny społecznej wymarzony od lat. Stanowi on wynik długotrwałych nieraz zabiegów, nie zawsze skutecznych. Księdzu Profesorowi Józefowi Tischnerowi przypisywany jest aforyzm, że droga życiowa jest człowiekowi wytyczona, ale gdy się drogowskazy pomylą, to mu się życie pop... Pragnę jednak wskazać na konsekwencje wyboru, dokonanego na tzw. całe życie. Na rolę do odegrania.

Życie to teatr

Myślałem kiedyś, że można u początku życiowej gry nakreślić sobie scenariusz i dbać o jego realizację, a nasza w nim - główna - lub tytułowa - rola będzie należycie spełniona. Płonne nadzieje. Bo w ten scenariusz jest wpisane działanie innych, którzy też go sobie nakreślili, nam przewidując inne role. Mówi się, że wystarczy, iż ktoś uszyje ci buty, a twój scenariusz idzie w niwecz. Nie darmo przed laty ustyszałem, od funkcjonariusza, że niezbadane są wyroki uboskie. Przez wiele lat racja była po jego stronie.

W tzw. trzecim wieku wiem dzisiaj, że

kiedy taki scenariusz ulegnie zakłóceniu lub przypadkowym albo celowym działaniem z zewnątrz zostanie zniweczony, można budować scenariusz od nowa, jeśli starczy siły woli i chęci skorzystania z nauki życiowej, jaką się właśnie otrzymało. Wszak żyjemy wśród społeczności, korzystamy z dorobku pokoleń i pracy innych, świadcząc także na rzecz tych innych. Możemy wykonywać swoją rolę tylko wtedy, gdy jesteśmy do niej dobrze przygotowani, a ona sama jest dobrze społecznie osadzona. Sam dobry scenariusz nie wystarczy - potrzebna jest dobra scena i dobrze dobrani partnerzy. Znamy wszak ludzi, którzy się nie powiodło. Może oni mieli złe ułożony scenariusz, może wyznaczyli sobie nie takie role, do jakich mogli być dobrzy.

Piszę to w czasie, gdy Los mnie okrutnie dosięgnął. Wcześniej wiedziałem, że może mnie spotkać najgorsze, sądziłem, że jestem dobrze przygotowany do najdotkliwszego doświadczenia. Nawet przygotowałem sobie niektóre urządzenia, jakoby ułatwiające życie. Doświadczenie było jednak tak dotkliwe i bolesne, że całe moje dotychczasowe przygotowanie i nastawienie zdało się na nic. W cierpieniu pozostałem sam. Na nic się zdały wcześniejsze sądy, pobierane od innych. Okazało się, że ci, którzy je wygłaszali, cierpienia nie doświadczyli, albo, że ono nie było tak dotkliwe, jak przeżywane przeze mnie. Na nic się zdała wiedza o tym, że cierpi leżący obok, być może doświadczony cierpieniem znacznie bardziej dotkliwym. Teraz przyznaję, że mnie to nie obchodziło, bo zajęty byłem tylko jedną myślą - niech to się skończy. Na nic się zdały zapewnienia innych o współczuciu, kiedy jedynym pragnieniem było uśmierzenie bólu. Po czasie z pokorą myślę, że ich cierpienie mogło być jeszcze głębsze, podobnie jak moje, które już minęło, które było.

Pozostało jednak przekonanie, że przeżycie cierpienia było tylko moje osobiste, to jedno i przeżywane w samotności. Pozostało też przekonanie, że upowszechniane sądy na temat pozytywnej roli cierpienia w życiu tracą na znaczeniu, gdy się znajdziemy w jego zasięgu i że nie ma takiego sposobu przekonania, że ból można pokonać, gdy nie

pomaga nawet najsilniejsza farmakologia. Nie uwierzę też w głoszone często hasło, że istnieje cierpienie, którego nie można pokonać. Granicy cierpienia i bólu nie ma. Bo każde, nawet najsilniejsze może okazać się zdadne do pokonania. Każde, nawet najmniejsze, okaże się najsilniejszym. Zresztą, musi być pokonane. Pokonane w samotności. A samotność to rola dla jednego aktora. Bez scenariusza, widowni, oklasków i recenzji. Scenarzystą i reżyserem jest Los.

O pokorze wobec Losu

*Idzie samotna dusza polem,
idzie ze swoim złem i bólem,
.....
i swoją dolę klnie tutajca,
i swoje losy klnie straszliwe.
K. Przerwa Tetmajer)*

Nie ma dnia, abym nie natknął się na tekst napisany albo wypowiedziany, którego autor z pewnością godną fanatyka oznajmia światu prawdy, jakich tylko on jest włodarzem. Pół biedy, gdy słuchacze lub czytelnicy wiedzą swoje. Gdy w uniwersytetach trzeciego wieku mądrzyłem się na temat szczęścia, pytano mnie, czy jestem szczęśliwy. Zawsze miałem kłopot z odpowiedzią, bo uważam, że stan szczęśliwości czyli określenie siebie jako szczęśliwym, jest zbyt mocne. Wolę być zadowolonym, mieć satysfakcję, uzyskać powodzenie albo odnieść sukces. Uznaję, że każde z tych określeń może w konkretnych sytuacjach do mnie pasować, szczęście zaś - to dla mnie zbyt wile.

Gdy dożywałem tzw. sędziwego wieku, los obdarzał mnie obficie sytuacjami pomyślnymi, niepowodzenia a nawet życiowe dramaty nie były moją specjalnością. Żyję spokojnie, nie mam kłopotów materialnych, mam dobrze ułożone stosunki rodzinne. Mimo tzw. godnego wieku trzymam się dobrze, owszem, mam nieco trudności w poruszaniu się, ale nie potrzebuję pomocy w obsłudze codziennej. Pamiętałem jednak zawsze o tym, że mogę doświadczyć życiowego niepowodzenia, o czym w rozmowach codziennych wspominałem. Tak się właśnie stało. Los upomniał się o swoje. Nadszedł czas wielkiego cierpienia. Jeszcze więcej nabrałem pokory, jestem wdzięczny ludziom, dzięki którym żyję.

Pokora wobec Losu nakazuje mi stale pamiętać, że wszystko jest nietrwałe, że każdy z powodów do zadowolenia może w momencie na moment zaniknąć. Więc nie mam ochoty mądrzyć się na temat szczęścia. Gdy spotykałem ludzi przez Boga albo Los paskudnie doświadczonych, bałem się, że może mnie taka paskuda spotkać. Nie wychwalałem się, jak się wtedy zachowam, czy podołam wtedy temu życiowemu doświadczeniu? Cierpienie towarzyszy mi nieustannie i będzie moim losem do ostatecznego końca.

Pozostaje tylko pokora.

Weź Los w swoje ręce

Hasło, by wziąć los w swoje ręce ma wartość, gdy człowiek osiągnie świadomość wolności. Bo składnikiem wolności jest wybór drogi życiowej. Wybór jest naszym dobrodziejstwem, bo zawsze możemy dokonać wyboru świadomi osobistej wolności. Jest zarazem naszym przekleństwem, bo od wyboru nie jesteśmy w stanie się uchylić, nigdy nie wiedząc jaki skutek osiągniemy. Wybór zbyt wczesny może skutkować nietrafionymi decyzjami życiowymi, wybór zbyt późny - zaprzepaszczone szansami.

Wybór drogi życiowej, jakkolwiek komentowany jako wyraz wolności, nigdy nie jest tej wolności przejawem. Dla człowieka religijnego przyczyną sprawczą jest Bóg, dla ateisty - Los. Napisano na ten temat całe biblioteki, nie mam zamiaru tematu rozwijać.

Zawsze i we wszystkich ideologiach człowiek pragnął Losowi się przeciwstawić. Najbardziej znanym stało się właśnie hasło „weź Los w swoje ręce”. Byliśmy i nadal jesteśmy świadkami i uczestnikami działań, jakimi staraliśmy się Los kształtować, na przekór jego naturze. Ot, choćby próby ingerencji w tzw. Dzieło Przyrody. Widziałem kiedyś rzekę, skierowaną w inne miejsce, kanały przepokopane między łąkami, zapory, które mają powstrzymać i ograniczyć to, co nazywamy żywiołem. A Los i tak się o swoje upomni. Zaporę przełamie, rzekę zmieni w rozlewisko, po drodze zniszczy, co zbudowano. Przykładem pierwszym z brzegu jest wulkan, który na długi czas unieruchomił komunikację lotniczą - dumę i rzekomą triumf człowieka nad przestrzenią; tsunami niszczące dorobek życiowy wielu pokoleń.

Można zapytać każdego z dotkniętych klęską powodzi, po co budował się w miejscu od wieków zalewanym. Wyboru dokonał bez racjonalnego rachunku zysków i strat - też przeciwie kierując się rozumowymi argumentami i z racjonalnym celem. Dopadł go Los, wobec którego nie zachował pokory.

Los i przeznaczenie

Czy wierzysz w przeznaczenie? - zapytał mnie kiedyś nieżyjący już przyjaciel. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, bo nigdy mi takie pytanie do głowy nie przyszło. Owszem, w rodzinnej legendzie była pamięć, że babcia i dwie ciotki orzekły, że będę księdzem lub adwokatem, ale nie spełniła się żadna z tych przepowiedni. Przeznaczony przez nie do obu tych pozycji, poszedłem inną drogą. Pewnie gdzieś u początku tej drogi niewiele mając możliwości podejmowania własnowolnych decyzji. Kiedy się wstecz oglądam, stwierdzam, że najczęściej o życiowym wyborze decydował przypadek. Najbardziej utkwiły mi w pamięci dwa wydarzenia.

W roku 1945 wracający z sowieckiej niewoli, Niemiec zwierzał się mnie, młokosowi z dramatycznego losu, jaki go spotkał. Nie miał dokąd i do kogo wracać. Cały życiowy dorobek, całe dotychczasowe życie zdruzgotała mu wojna, w której nie wziął udziału dobrowolnie. Gdy opowiadałem mu, że moje życie, człowieka, jeszcze wtedy dopiero u początku, legło już w gruzach, powiedział „życie nie powie ci, abyś się nad sobą pouzał, a ono stanie obok i poczeka.”

Czas i przypadek rządzą losem człowieka. Urodziłem się w czasie i miejscu ściśle określonym. Kto inny urodził się w innym miejscu i innym czasie, też ściśle oznaczonym - ale każdy z nas, ja i reszta, gdzie indziej i kiedy indziej. Przypadek zrządził, że tu i teraz.

Przeznaczenie zajmuje wyjątkowe miejsce w zwykłym życiu. Jest to potężne przekonanie, którego nie możemy zważyć ani zbilansować, ani poddać badaniu w żadnym laboratorium. To nie jest jedynie przesąd. Ma także silne psychologiczne podstawy. Moc przeznaczenia pomaga nam pozostać psychicznie na dobrym poziomie, posiada zastosowanie w różnych problemach psychicznych. Wszyscy ludzie nie mogą zająć pierwszego miejsca w wyścigu.

Wszyscy staramy się dociągnąć nasz poziom do najlepszych. Wiemy, że w wyścigu zwycięży tylko jeden. Do sukcesu przeznaczony?

Nadal szukam jakiegokolwiek argumentu, aby stwierdzić jednoznacznie, czy w przeznaczenie wierzę, czy nie. Nadal nie potrafię odpowiedzieć na zadane mi przed laty pytanie. Gdy coś pójdzie nie tak w życiu, nie otrzymamy oczekiwanych wyników, po dostownie bardzo ciężkiej pracy, a następnie cierpimy na zaburzenia stanu psychicznego, los okaże się wyjaśnieniem. Czy prawdziwym?

Konkurent czy koalicjant

Niejedną raz zdarzało się, że w sytuacjach życiowo niepomyślnych, przywołujemy myśl o losie nam niesprzyjającym. Często właśnie lubimy „zwalić” na kogoś lub na coś. Myśl o tym, że taka sytuacja była zrzędzeniem losu, bierze górę nad myślą o niepoprawności naszego osobistego zachowania lub okoliczności w jakich znaleźliśmy się na skutek własnego działania. Bywa, że bierze górę nad myślą o Bogu jako przyczynie równoważnej czy równoległej. Czasem odzywa się sygnał ostrzegawczy w postaci myśli „nie kuś losu (licha)”, gdy z góry wiadomo, że „pakujemy się” w ryzykowną sytuację. Nie ma wtedy tego samego ostrzeżenia jako przestroga przed angażowaniem Boga, bo nie należy Jego Imienia używać bez konieczności. Los częściej niż Boga traktujemy jako element sprawczy naszego nieszczęścia albo szczęścia. Bogu częściej przypisujemy pomyślny wynik zdarzenia. W Losie ateistów (tym rozważanym jako ciąg zdarzeń bez udziału Boga) i w losie wierzących dostrzegam to samo zjawisko - człowiek jest igraszką bezwolną sił spoza człowieczego istnienia.

Wspominamy też Los, gdy doświadczamy zdarzenia dla nas pomyślnego. Wtedy częściej niż na zrzędzenie Losu wskazujemy na Boga jako sprawcę pomyślności. W życiu potocznym, w myśli komentującej zdarzenie „na gorąco” często odwołujemy się do Losu lub nań się powołujemy, niezależnie od wyznawanej wiary lub posiadanego światopoglądu. Używam „często” powodując się własnymi obserwacjami. Nie mogę powołać się na empirię, bo jej nie znam.

Czy istnieje zatem byt inny niż Bóg, samo-

istny, autonomiczny? Obok Boga, jakby współ-istniejący? Gdy myślimy o dobrym sprawstwie - myślimy Bóg, gdy myślimy o złym sprawstwie - myślimy Los. Bo przez myśl nam nie przechodzi, że sprawcą złego może być Bóg. Więc tym sprawstwem obarczamy Los. Ale też pomyślne zdarzenia i okoliczności przypisujemy Losowi, niepomyślne Bogu. Raz tak, raz owak.

Jeśli zatem obok Boga powołujemy się na Los - ten drugi byt sprawczy - to może istnieje podział na dwie sfery wpływów, owych dwu bytów transcendentnych, a granicą tych sfer jest ten biblijny zakaz postugiwania się imieniem Boga bez potrzeby. Gdy w drzewo, pod którym stoję, uderzył piorun, to sprawcą owego zdarzenia jest Los, gdy słońce otoczone zostało tęcza aureolą, to sprawcą jest Bóg. Nie da się jednak podzielić oceny zdarzeń tak jednoznacznie. Bo raz sprawcą pomyślnych zdarzeń jest Bóg, innym razem - Los. Ten sam piorun może być karzącą ręką Boga, gdy trafił w drzewo, pod którym stoję i szczęśliwym zdarzeniem Losu, gdy uderzył w sąsiednie drzewo. Sam nie wiem, kiedy stwierdzę, który z bytów jest sprawcą doświadczonego zdarzenia - dobrego lub złego. Kiedy znakomity, zaprzyjaźniony filozof zapytał mnie, skąd się u mnie wzięł pomysł zastanawiania się nad Losem, odpowiedziałem „pewnie taki los, na mnie padło”.

Nie mam jednak wątpliwości, że zdarzenia mojego życia, nagłe a niespodziewane, niezależnie od ich sprawczej przyczyny, stawały mnie niejedną raz w pozycji bytu bezwolnego, bezsilnego i beświadomego. I wiem, że tak było od wieków, tak jest dziś i tak będzie, dopóki Człowiek istnieje. Czy Bóg czy Los jest sprawcą, nie ma znaczenia dla skutków samego wydarzenia. Zawsze będzie istnieć alternatywa biblijnego zakazu używania imienia bez potrzeby i zawsze będzie istnieć heglowska Pokora, która musi zabrzmieć jako działanie rozważne w zgodzie i harmonii.

Zawsze w sytuacji niepokojącej mamy pretensje pod adresem Boga lub Losu. Też nie wiadomo, kiedy o sprawcę naszego życiowego dramatu zawołam, dlaczego mnie to spotkało? Kierując pytanie do jednego lub drugiego bytu. Czy zawsze zdarzenie szczęśliwe przypisywałem Bogu lub Losowi, najczęściej chętnie się własną zapobiegliwością?

A Los nie jest harmonogramem zdarzeń życia, Bóg zaś nie jest koncertem życzeń.



Moje patriotyzmy - mój los

Dzieło na miarę epoki

Piszę te teksty z przekonaniem, że tworzę dzieło na miarę epoki. Gdybym był przekonany o tym, iż jest to nic nie warte, po cóż bym to robił? Nie ja pierwszy i nie ostatni, który jest przekonany o walorach swojej twórczości.

Od oceny zaś są czytelnicy, oglądacze muzealni, bywalcy teatrów i cyrków, a nawet ogrodów zoologicznych (ci ostatni zwykle oceniają, jak dane stworzenie udało się Panu Bogu). Dlatego w redakcjach siedzą ludzie, którzy mają najczęściej fatalny sąd o epoce. Nawet postawili sobie pod biurkami przedmiot, znany wszystkim literatom. Recenzenci i krytycy to paskuda i eunuchy, bo wiedzą jak, a nie potrafią.

Ale tak było od prawników. Ot, co, jak mawiali kresowiaci.

Inni znów piszą dla potomnych. Pewnie za ileś (dziesiątków, setek?) lat jakiś historyk czy archeolog obwieści światu rewelacyjne odkrycie, ustalając, jak w epoce płotów sztachetowych nazywano ulicę, na której mieszkam, gdy na płocie trafił na napis złożony z czterech znanych liter.



Los nie szczędził mi refleksji nad patriotyzmem. W długim życiu było ich co

najmniej trzy, czwarty patriotyzm to ten, który trwa, gdy o nim piszę. Za każdym razem, gdy pisałem tekst o godności lub patriotyzmie, Prezydenta Rzeczypospolitej wymieniałem jako symbol. Ale tylko ten pierwszy z lat dzieciństwa pozostał w mojej pamięci jako wielka postać, symbol godności Państwa i Narodu. Jako historyk umieściłem Go w rozprawie doktorskiej, bo właśnie Ignacy Mościcki podczas wizytacji powiatu wmurował akt erekcyjny szkoły, w której uczyłem się w latach 1936-1939 i podpisał akt założycielski muzeum. Oba te akty miały miejsce w roku 1929, kilka tygodni przed moim urodzeniem. Wielkości tego polityka nie było w moich dziecięcych wspomnieniach, nie było też prawie przez całe dorosłe życie. Trzeba było obcowania z historią już na emeryturze, aby zrozumieć, co to znaczy, że Postać może utworzyć symbol narodowy. Zawsze mając na uwadze tylko ten mój pierwszy w życiu. Bo inni nie odpowiadali mojemu systemowi wartości.

W dziecięcych latach w kresowym miasteczku, gdzie więcej było Żydów niż Polaków, uczono mnie, że należy oddawać honory powstańcom. Należałem do zuchów, nazywanych wtedy wilczkami, a po ulicach chodzili nasi dziadkowie - uczestnicy powstań dziewiętnastowiecznych - one były niedawno. Z płacem mówiliśmy wierszyki w dni żałobne po zgonie Dziadka - Marszałka. Na pochod 3 Maja czyściłem tenisówki pastą do zębów, by były śnieżnobiałe, zdejmowałem czapkę przed figurą Matki Boskiej Królowej Korony Polskiej i przyglądałem się defiladzie ustrojonych łodzi na Szczarze w Święto Morza.



To był patriotyzm pierwszy

Potem przyszedł czas okrutny. Harcerskie przyrzeczenie składałem w lesie, gdzieś pod warszawską Falenicą czy Miłosną, na ścianie

malowałem znak Polski Walczącej, a rezultatem była pamiątka z Powstania - Pomnik Okulisty, do dziś w oku noszony.

To był patriotyzm drugi

Przyszła czas Polski Ludowej. Jak inni młodzi tamtych czasów, zachwyciłem się ideą komunizmu, rychło przekonując się, że syn policjanta i kresowej nauczycielki może być tylko jego wrogiem – oczywiście, klasowym. Jednak, ludowa bo ludowa, była to Polska. Więc uczyłem polskości na wzorach z historii, kultury, literatury, wszystkiego co polskie. Zapewne i ja i moi koledzy, także moja Matka i jej przyjaciele, uczyli nienajgorzej, skoro z ich szkół wychodzili ludzie, zaliczani do światowej elity. Uczyliśmy też i tego, że idee trwają, że wierność ideom, dziś nazywanym wartościami to cecha najwyższej rangi. Wbrew i na przekór.

To był patriotyzm trzeci

Czy pojawi się inne oblicze patriotyzmu, gdy politycy zmienią kolor krawatów i ogłoszą z triumfem kolejny numer Rzeczypospolitej?

Pomnik Okulisty

Noszę go w moim prawym oku. Nikt go nigdy nie widział, ja go nie widziałem też. Ale stale, w każdej sekundzie, kiedy oczy mam otwarte, czuję go. Zawsze też płaczę z jego powodu. Minęła kolejna rocznica od chwili, w której ten pomnik powstał. 15 sierpnia 1944 roku około godziny siedemnastej pocisk uderzył w absydę kościoła, dziś zwanego katedrą połową Wojska Polskiego, wtedy kościoła garnizonowego. Ja, piętnastoletni chłopak, służyłem do Mszy św. w tym kościele od 6 lub 7 sierpnia, tj. od dnia, kiedy po opuszczeniu mieszkania przy ul. Ogrodowej, znaleźliśmy się na Starym Mieście. Właśnie pod kościołem w podziemiach koczowaliśmy wraz z setkami innych warszawiaków. Razem z nami, znaczy ze mną, moją matką i bratem ledwo szła przez płonące ulice moja szkolna koleżanka, też harcerka, Henia, której rodzice już poległ w obronie Woli. Szliśmy więc przez Ogrodową, Żelazną, Chłodną i Elektoralną do kościoła na Chłodnej, przez targowisko wokół Hali Mi-

rowskiej, gdzie płonął stragan mojej matki, aż do Długiej, by znaleźć schronienie pod kościołem. Matka od razu zgłosiła się do powstańczego szpitala, który znajdował się w gmachu na rogu Długiej i Podwala. Tego samego popołudnia zgłosiłem się do zakrystii. Kilka razy w ciągu tych siedmiu dni służyłem do Mszy. Były jeszcze w kościelnych szufladach czyste i równo poukładane kaptańskie szaty liturgiczne, kilka chłopięcych komży, liturgiczne naczynia w szafach i na półkach.

O popołudniowej godzinie kapłan zakończył liturgię przeznaczoną na święto przypadające 15 sierpnia, pomogłem w rutynowych czynnościach zdejmowania szat i obaj jako ostatni z kościoła wyszliśmy. Ileż to lat potem, oglądając podczas wycieczki resztki kościoła w Trzęsaczu i słysząc legendę o tym, jak proboszcz tego kościoła zabrał po nabożeństwie szaty i naczynia liturgiczne, a ściana kościoła runęła do morza, pomyślałem, iż dzieją się rzeczy... Ostrzał artyleryjski trwał, tzw. szafa grała prawie bezustannie. Usiadłem w podziemiu na ławce, jak od dni koło Heni, gdy zobaczyłem przed sobą ogień. Potem gdzieś spadłem wśród płomieni, aż spadłem. Nie wiem, ile to trwało. Ratownicy odkopali gruzowisko, gdy weszło trochę świeżego powietrza, ocaleni odzyskali przytomność. O własnych siłach wyszedłem z tej piwnicy z piekącą twarzą. W jakimś wiadrze znalazłem wodę – to były pomyje – otarłem twarz, ból stał się jeszcze większy. Dalej nic nie pamiętam. Późno, już w nocy, leżałem na jakiejś ławce w piwnicy. Rano okazało się, że mam spaloną skórę na twarzy i piekące oczy. Przyszła okulista, tylko powiedział: trzymaj się. Chwyciłem się tawki, ale nie o to mu szło. Bez znieczulenia, w blasku świecy wyjął obce ciało. Robił to trzynastą raz w ciągu trzynastu dni. Bo za każdym razem wydawało mi się, że już nie boli. Ostatniego – jak się potem okazało - już nie wyjął. Przechodząc przez ulicę, właśnie do mnie, zginął od zabłąkanej kuli. Po wojnie badał moje oko rosyjski okulista światowej sławy profesor Fiłatow i jego polski znakomity przyjaciel profesor Abramowicz (nie jestem pewien, czy tak brzmiało to nazwisko), za pomocą elektromagnesu wyciągnęli mi ten czternasty kawałek, ale piętnasty, widać niemetaliczny – pozostawili. Tkwi do dziś w gałce ocznej, powoduje łzawienie. Sam uraz wywołał zaćmę. Żyje w pamięci.

Noszę więc w swoim oku ten mój prywatny pomnik okulisty i będę go nosił do końca życia. A kiedy już zmienię miejsce pobytu ze stałego na wieczny, postaram się wśród aniołów odnaleźć tego Okulistę, by odśpiewawszy Alleluja, złożyć mu hołd. Chyba że nie trafię w tamte rejony. Wtedy swego szefa, Lucyfera, poproszę o jednowiecznościową dispensę na wyżej wspomnianą peregrynację. Moich Czytelników zaś biorę na świadków tego przyrzeczenia.

Świadkiem zaś stał się ks. ppłk. dr Zbigniew Kępa, rzecznik prasowy Ordynariatu Polowego Wojska Polskiego, który mój tekst przyjął jako „jedynę wspomnienie, które znam świadka bombardowania Katedry Polowej Wojska Polskiego[...] Pamięć o bombardowaniu szpitala powstańczego na Długiej i śmierci wielu tam przebywających jest ciągle żywa. Upamiętnia to tablica przed Katedrą Polową.” (Fragment osobistej korespondencji przedstawiam za zgodą Wielebnego Księdza).

Patriotyzm nowego wieku

Przed kilku laty podjąłem na blogu zaproponowany przez emigrantów temat patriotyzmu u progu wieku dwudziestego pierwszego. Oto wnioski, jakie z tej dyskusji wynikły.

Po pierwsze. W globalnej wiosce patriota polski może stać obok patrioty chińskiego, rosyjskiego czy niemieckiego np. podczas nabożeństwa. Nie musi jednak pojawić się na mszy w intencji ojczyzny Belga czy Senegalczyka, choć mieszkają obok siebie i wie, że ono odbywa się w belgijskie święto państwowe. Uszanuje jednak jego uczucia i - być może z sąsiedzkiej sympatii - złoży mu życzenia. Żyją w jednym państwie, ich powinności obywatelskie są jednakie, ale powinności patriotyczne - inne. Patriotyzm nabiera znaczenia metafizycznego. W konkluzji na pytanie, jakie od lat stawiam, ta myśl ma znaczenie pierwszorzędne.

Po drugie. Patriotyzm staje się w globalnej wiosce wartością intymną, to znaczący przeżyciem osobistym, czasem wyrażanym na zewnątrz przy różnych okazjach jako demonstracja odrębnej przynależności duchowej lub rodowej w ramach spoteczności, w której się żyje.

Po trzecie. Wśród idei, tworzących osobowość, patriotyzm nie musi zajmować miejsca

nadrzędnego w momencie, kiedy nie musi być okazywany. Inaczej - nie jest ideą, wartością, cechą, postawą czy uczuciem (niepotrzebne wykreśl, zależy jak się go interpretuje) o ustalonej raz na zawsze i niezmiennej pozycji.

Sprawa wychowania w patriotyzmie naszych potomków. Nie zadałem tego pytania, bo niezależnie od odpowiedzi rozgrywa się ona poza dociekaniem intelektualnymi. A pytanie to brzmi: czy warto i po co urodzonemu w Białorusi, Szwecji, Belgii czy gdzie indziej na świecie z matki Polki lub ojca Polaka wpajać miłość do ojczyzny rodzica. To pytanie wyrosło na gruncie znajomości realiów białoruskich mojej ojczyzny, tak bardzo związanej z polską kulturą i historią. A wyrosło na ziemi szwedzkiej, gdzie urodzili się moja córka i wnuk, dla których moja ziemia rodzinna jest prawie taką samą abstrakcją jak eskimoskie igloo. Dodam, że młodzi synowie, o których piszą emigrantki, przeżywają swój czas nieba w płomieniach. Kiedyś przed laty, młoda uczona szwedzka, żona Szweda, matka synów urodzonych w Szwecji, Polka, córka Polki i poety białoruskiego, ale Polaka, zapytała, kim jest. Oczywiście, jest Polką. Ale zostanie chlubą szwedzkiej nauki, jeśli chlubą nauki się stanie. Jakiś rosyjski przyrodnik i podróżnik, którego nazwiskiem oznaczona jest unikatowa sosna na Krymie, podobno należał do naszego rodu - polskiego rodu. Myślę, że kiedy płomienie na niebie wygasną, pani od polskiego w Holandii będzie wspomniana podobnie jak ja wspominał swoich nauczycieli. Czy jej syn wybierze polską uczelnię? Kiedy przyjdzie na to czas, różne argumenty zadecydują. Być może nawet spotkana w życiu pierwsza miłość.

Pod samowarem

*Pod samowarem siedzi moja Masza
Ja mówię tak, a ona mówi nie.
Jak w samowarze kipi miłość nasza...*

Stoi na półce od lat niewykorzystany. Czasem tylko dotknie go ścierka, by zetrzeć kurz, czasem zastąpi na krótko samowar elektryczny. Zresztą, co to za samowar? Elektryczna atrapa, stoi dla ozdoby, a nie po to by dostarczyć na stół smacznej wody do herbaty. Prawdziwy, mosiężny, mocno nadwyreżony stoi na wystawie w dawnej Desie. Tamten



**Samowar był stale w moim domu.
Fot. Jan Maziejuk**

z domu mojego dzieciństwa, też bardzo stary, tulski, jeszcze pamiętający czasy powstań, pozostał na Kresach. Czekał pod opieką Babci, aż przyjadę i zabiorę. Władze sowieckie jeszcze w latach pięćdziesiątych nie pozwoliły go zabrać jako zabytku. Do Chruszczowa pisaliśmy - nie pomogło. Przemycić można było złoto, ale tulskiego samowara - nie.

Samowar towarzyszył mi przez całe kresowe dzieciństwo. Już od wczesnego popołudnia co najmniej dwie służące przygotowywały go do stołowej służby. My, dzieci, miałyśmy wiele uciechy przyglądając się tym zabiegom.

Bo naprzód musiały go wyczyścić sidolem, by błyszczał na stole. (Sidol, to był popularny płyn do czyszczenia mosiądzu. Jeszcze w czasie powstania warszawskiego na czołgi niemieckie rzucono sidolówki, to znaczy blaszane puszki po sidolu wypełnione płynem zapalającym). Umorusane myły się potem w szafliku, by teraz zabrać się do czynności rozpalań. To było najciekawsze, bo efektowne. Po wrzuceniu kilku topatek rozpalonych węgla wygarniętych z kuchennego paleniska, kucaty wokół samowara na podwórzu i zawzięcie dmuchały do środka samowarowego paleniska. Zabawa była pyszna, bo dziewczyny miały twarze czarne od sadzy, wyglądając jak Murzynek Bambo ze szkolnego podręcznika, co w Afryce mieszka, czarną ma skórę ten nas koleżka. My, uczniowie najmłodszych klas (pewnie i dzieci starsze) zbieraliśmy

pieniądze na tych biednych Murzynków.

Nadchodził wieczór. Zapalano lampę nad stołem ostionętą wielkim abażurem, wtedy nazywał się umbrą. Stół był wielki dwunastoosobowy, zakupiony w żydowskim składzie meblowym Poreckich. (To był wielki skład z fabryką i tartakiem). Wszyscy, razem ze służbą, siadali przy nim. Wtedy już nie obowiązywała maksyma, iż przy stole jak w kościele. Wolno było mówić, tyle że nie wolno było wtrącać się do rozmowy dorosłych, bo dzieci i ryby głosu nie mają.

Samowar stał na środku stołu.

Los i przeznaczenie

Jak dziki zwierz przyszło Nieszczęście do człowieka

I zatopilo weń fatalne oczy...

- Czekaj - -

Czy człowiek zboczy?

C.K.Norwid

Czy wierzysz w przeznaczenie? - zapytał mnie kiedyś nieżyjący już przyjaciel. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, bo nigdy mi takie pytanie do głowy nie przyszło. Wcześniej się nad tym nie zastanawiałem. Bo moje własne doświadczenie życiowe nigdy się nie spełniło. Pewnie moja - od dzieciństwa widocznaskłonność do mądrzenia się sprawiła, że Babcia i ciotki orzekły, że mam być księdzem albo adwokatem. Jeśli to było moje przeznaczenie, nie sprawdzilo się. W liceum przyjaciel z ławki przezwiał mnie filozofem. Też się nie sprawdzilo. To on został filozofem, dostojnym i wielce zasłużonym, znanym na całym świecie. On mówi w radiu i telewizji na temat ludzkiej egzystencji, osądza ludzkie czyny i wyznacza wartości i sens życia. Ja mogę się tylko pomądrzyć na blogu.

Przeznaczony przez Babcie i Ciotki do obu tych pozycji, przez Przyjaciela do roli filozofa, poszedłem inną drogą. Pewnie gdzieś u początku tej drogi niewiele mając możliwości podejmowania własnowolnych decyzji. Nie zostałem ani jednym, ani drugim. Sam jako dziecko pragnętem być panem Bolkiem. Pan Bolek był konduktorem w autobusie, którym jeździliśmy na wieś do Babci. Panem Bolkkiem też nie zostałem. Znacomity filozof, we wczesnej licealnej młodości przezwiał mnie Filozo-

fem, ale to on, nie ja, filozofem został. Kiedy się wstecz oglądam, stwierdzam, że najczęściej w życiowym wyborze decydował przypadek. Kiedy zacząłem filozofować na temat przeznaczenia, doszedłem do wniosku, że nie warto szukać odpowiedzi na takie pytanie. Ot, taka filozofia Losu.

Najbardziej utkwiły mi w pamięci dwa wydarzenia.

W roku 1945 wracający z sowieckiej niewoli, Niemiec zwierzał się mnie, młokosowi z dramatycznego losu, jaki go spotkał. Nie miał dokąd i do kogo wracać. Cały życiowy dorobek, całe dotychczasowe życie zdruzgotała mu wojna, w której nie wziął udziału dobrowolnie. Już wtedy niewiele wiedząc o ludziach, czułem, że jest to człowiek przegrany. Taka od jego zawierzeń szła gorycz. Gdy opowiadałem mu, że moje życie człowieka, jeszcze wtedy dopiero u początku, legło już w gruzach, powiedział: „życie nie powie ci, abyś się nad sobą pouzał, a ono stanie obok i poczeka”. Wiele lat minęło od tamtego spotkania, a ta maksyma w pamięci pozostała.

Moja starsza sąsiadka nie chciała utrzymywać żadnych kontaktów z dawnymi mieszkańcami kresowego miasta powiatowego, gdzie jej mąż był starostą powiatowym. Kilka dni przed śmiercią (nie wiedzieliśmy, że to są jej dni ostatnie) odrzuciła moją gotowość do zgromadzenia fotografii z okolicy, tak bardzo bolały ją wspomnienia tej kresowej świetności. Pisałem kiedyś na blogu, że umrę na ziemi obcej, do niedawna wrogiej. Kilka lat później oficer bezpieczeństwa swoje działania opisywał jako niezbadane wyroki uboskie. Wystarczyło jedno pokolenie, by nasi potomkowie uznali, że ziemia wroga dla ich rodziców jest ich rodzinną ziemią, której należy bronić, jak my własnej. Wystarczyło jedno pokolenie, aby oni tę ziemię uznali za swoją, nie bacząc na czas krótki, zaledwie w pierwszym pokoleniu.

Przekonanie o przeznaczeniu zajmuje wątpliwe miejsce w zwykłym życiu. Jest to potężne przekonanie, którego nie możemy zważyć ani zbilansować, ani poddać badaniu w żadnym laboratorium. Moc przeznaczenia pomaga nam pozostać psychicznie na dobrym poziomie, posiada zastosowanie w różnych problemach psychicznych.

Wszyscy ludzie nie mogą zająć pierwszego miejsca w wyścigu. Wszyscy staramy się do-

ciągnąć nasz poziom do najlepszych. Wiemy, że w wyścigu zwycięży tylko jeden. Osiągnię sukces do jakiego jest przeznaczony? Właśnie on. Taki jego los.

Nadal szukam jakiegokolwiek argumentu, aby stwierdzić jednoznacznie, czy w przeznaczenie wierzę, czy nie. Nadal nie potrafię odpowiedzieć na zadane mi przed laty pytanie. Gdy coś pójdzie nie tak w naszym życiu, nie otrzymamy oczekiwanych wyników, po dostownie bardzo ciężkiej pracy, a następnie cierpimy na zaburzenia stanu psychicznego, los okaże się wyjaśnieniem. Jako „coś wyżej zapisanego”, co zdarzy się, gdy ma się wydarzyć, wobec czego człowiek jest bezsilny i bezwolny”.

Los jak spadek

Przykładem losu jako wyniku zależności kulturowych jest wychowanie dzieci. Już niemowlęta są ubierane stosownie do płci, chociaż we wczesnym niemowlęctwie nie ma to żadnego znaczenia. Trzeba zauważyć, że nawet wózki bywają inne dla chłopców, inne dla dziewczynek. Tak rodzice, kierując się wzorcami kulturowymi, wyznaczają im los. Potem dochodzi do rozbieżności pomiędzy płciami i rolami społecznymi. Oto głos czytelniczki, p. Julii:

Kuzynka, która będzie wkrótce mamą - płci dziecka nie zna. Ja mam problem z zakupem ciuszków. Wszystkie to, w co mają ubrać ma-luszka - jest już albo "dla dziewczynki", albo „dla chłopca”, z wyraźnym zaznaczeniem płci. My narzucamy pewne zachowania, ale i nam są one narzucane.

Cóż dopiero mówić o przynależności do określonej grupy etnicznej, społecznej czy zawodowej. Jak się urodziłeś Murzynem, Murzynem umrzesz, gdy cię ochrzczono w cerkwi, prawosławnym będziesz, w rodzinie lekarzy często lekarzem się zostaje, podobnie prawnikiem. Gdy się urodziłeś jako mężczyzna, to stałeś się dziwakiem płęć zmieniając. Można przykłady mnożyć, ale losu się nie uniknie.

Się porobiło!

Dziś wiem, że następujące czynniki kształtują nasze życie: Bóg i jego Wszechmoc, Ja i przekonanie, że potrafię życie ułożyć,

Reszta, w której się obracam, oraz Los i jego nieuchronność i nieprzewidywalność. Dalej opisuję zdarzenie, o którym do dziś nie potrafię powiedzieć, czy było dziełem Boga owej Reszty, czy zrzędzeniem nieprzewidywalnego Losu. Z całą pewnością i niezależnie od sprawczej przyczyny, niezależnie od trafności mojej oceny, w zdarzeniu tym nie było mojego czynnego udziału. Nie wiadomo też, dlaczego żyję, choć w koto mnie były trupy. Rozważam, co następuje:

Jaki interes miałby Bóg, mnie zachować przy życiu, a pozbawić życia wielu dokoła mnie? Sam nie mogłem w niczym przyczynić się do mego ocalenia i dokonać jakiegokolwiek czynu, aby przeżyć to zdarzenie, reszta dotyczyła i mnie i wszystkich dokoła. Mało tego. Choć wtedy byłem żarliwym ministrem i harcerzem, teraz nie jestem wyznawcą najbardziej gorliwym. Z pewnością to przewidział.

Więc jeśli nie Bóg, jeśli nie ja sam, jeśli nie inni ludzie, to tylko Los. Nieprzewidywalny, nierozumny, niesprawdzalny. Sprowadza wszystko do przypadku. I to, co się wtedy, w sierpniowy powstaniowy dzień na warszawskiej Starówce mnie przydarzyło, też było przypadkiem niesprawdzalnym i nieprzewidywalnym.

Dziś wiem, że w świadomości Człowieka

trwanie w życiu zależy od sił pozaludzkich, bliżej nieokreślonych, czasem nazwanych, jak owe trzy córki Zeusa.

Gdy w uniwersytetach trzeciego wieku mądrzyłem się na temat szczęścia, pytano mnie, czy jestem szczęśliwy. Zawsze miałem kłopot z odpowiedzią, bo uważam, że stan szczęśliwości czyli określenie siebie jako szczęśliwym jest zbyt mocne. Wolę być zadowolony, mieć satysfakcję, uzyskać powodzenie albo odnieść sukces. Uznaję, że każde z tych określeń może w konkretnych sytuacjach do mnie pasować

Dożyłem wielu lat, los obdarzał mnie obficie w niepowodzenia a nawet życiowe dramaty. Wszystkie mam za sobą. Jakie przed sobą? Żyję spokojnie, nie mam kłopotów materialnych, mam dobrze ułożone stosunki rodzinne. Mimo tzw. godnego wieku i cierpienia, trzymam się dobrze, owszem, mam nieco trudności w poruszaniu się, ale nie potrzebuję pomocy w obłudze codziennej.

Pokora wobec Losu nakazuje mi stale pamiętać, że to wszystko jest nietrwałe, że każdy z powodów do zadowolenia może z momentu na moment zaniknąć. Więc gdy się na temat szczęścia publicznie mądrzę, mam przed oczami obrazki ludzi Losem paskudnie doświadczonych i wiem, że może mnie taka paskuda spotkać. Taki los.

Rozdział drugi.

Rozmyślania wieczorne

Zapada mrrok. Od dzieciństwa lubię ten czas, kiedy jeszcze za wcześnie zaświecić lampę, za późno, by cieszyć się światłem dnia. Od dzieciństwa w kresowym miasteczku, gdzie nie było elektryczności, lubię ten czas oczekiwania na porę nowej jasności. Wtedy po zmrroku służba wносиła lampę naftową, ojciec brat gitarę i śpiewał o gwiazdeczce, co błyszczała, gdy m ja ujrzał świat. Dzisiaj pozostało tylko wspomnienie.

Rozmyślania o opuszczonych gniazdach

Widmo krąży nad światem. Widmo krąży nad Europą. Widmo krąży nad Polską. Widmo krąży nad nami. Widmo jak Los. Nieubłagany, nieunikniony. To starość.

Coraz bardziej powszechne życie na emeryturze przez 20 – 30 lat wobec skracanego czasu pracy, wobec postępującego okresu starzenia się i przedłużania życia staje się okresem zbliżonym do czasu pracy. Nie zawsze pustym. Wraz z przedłużeniem życia ku coraz starszemu wiekowi przedłuża się czas aktywności społecznej ludzi starych. Na wieczorkach tanecznych moi rówieśnicy nie chcą tańczyć dawnych, powolnych tańców z czasu młodości, wybierając te żywe, tzw. młodzieżowe, a ich uczestnicy prawie 80 – letni, już tylko gestykują przebiegając nogami, gdy im sił do podskoków zabraknie.

Przydatność zawodowa nie powinna być kwestionowana; ale ze względów demograficznych, a i zakorzenionych stereotypów jest skutecznie ograniczana. wręcz w kierunku antykonstytucyjnej dyskryminacji.

Zupełnie inna jest sytuacja naszych dzieci i wnuków. Oni nawet nie rozumieją naszej postawy. Urodzeni i wychowani na tej ziemi, także dożywają kresu życiowej aktywności. To jest już ich Ojczyzna. Pierwsza i szczęśliwie daj Boże - jedyna.

Rozmyślania o przemijaniu

Zaopatrzony w skromną emeryturę, znalazłszy się na życiowym aucie, doczekałem nowego tysiąclecia.

W połowie stulecia pojawiło się pytanie, jak będzie wyglądać pierwszy dzień dwudziestego pierwszego wieku. Także myśl, czy ja tego dnia doczekam. Będę miał wtedy ponad siedemdziesiąt lat, będę starym człowiekiem. Doczekałem. Przeżyłem radość właśnie z tego powodu, że dzień ten zobaczyłem. Ale nic się nie zmieniło. Pierwszy stycznia nowego tysiąclecia był taki sam jak w roku poprzednim.

Początek dwudziestego pierwszego wieku, początek trzeciego tysiąclecia przeżyłem bez większych wrażeń. Sztuczne ognie były takie same jak w poprzednim roku. Nowy Rok witano takim samym szampanem – może tylko przemówienia i toasty były bardziej wznioste. Przekroczyłem siedemdziesiątkę, miałem otwarty przewód doktorski, i czekałem na wyznaczenie terminu egzaminów. Odespałem noc sylwestrową - pewnie dłużej niż przed laty - dopitem resztki szampana, (furda, cukrzyca!) wziętem żywy, by potańczyć na sztucznym lodowisku. Tam jednak muzyka była inna. Nie dla mnie. Wieczorna randka też była inna. Miała być wedle scenariusza ze starej piosenki – do drzwi wchodzi miła starsza pani, orkiestra gra walca dla niej... Miła starsza pani była, owszem, ale ani orkiestry, ani walca. Tylko tandetny hałas puszczany przez jakiegoś osiłka zwanego didżejem.

Opowieść zastyszana. Podobno prawdziwa. Prawie stuletni Paryżanin uprzedził żonę, że wróci z kawiarni nieco później, bo spotka się z byłą sympatią z lat młodości. Wrócił jednak o statej porze. – Nie przyszła? – Przyszła, ale siedziała przy stoliku jakaś starucha, więc wstydzilem się podejść.

Tak pisałem jeszcze kilka lat temu w tekście pt. *Pora na seniora*. Ale wtedy pory na seniora jeszcze nie było. Wszystko, co było

do uciechy, do zabawy, co było do sprzedania i kupienia było dla młodych. Byliśmy z tytu liceum, z przodu muzeum. Kiedy mi niedaleko do dziewięćdziesiątki, to muzeum na liceum się zamienia, coraz częściej pukają do moich drzwi specjaliści od sprzedaży ci, co jeszcze sami niedawno sprzedawali wszystko dla młodych. Coraz częściej dla mnie i moich rówieśników mają propozycje rozrywki. Coraz mniej tych, dla których my budowaliśmy- nasz świat.

Coraz częściej ci, którzy zawsze chcieli urządzić świat dla innych - teraz nas, starych, chcą ustanowić obiektem ich troski. Zawsze starzeją się inni. Radna, jeszcze w sile wieku, jeszcze sprawna fizycznie i intelektualnie, nie myśli o sobie. A przecież, kiedy podejmuje zabiegi o poprawę losu ludzi starych, tych innych, podświadomość jej podpowiada, że robi to także z myślą o sobie i swoim losie.

Wiem, co piszę. Zostałem sam. Jak oni. Z okien mojego mieszkania widziałem jak po sąsiedzku budowano okazałe domy, rodziły się dzieci, dorastały. Potem już tylko na krótkie wakacje jako studenci przybywali do swoich domów - z myślą o nich budowanych i latami urządzanych. Zostali sami. Gniazdo opustoszało, potomkowie rozproszyli się po świecie, nawet tak daleko, że tylko raz na kilka lat mogą się spotkać. Spotykają się jako obcy, bo wiedzą o sobie tylko tyle, ile zechcą przekazać telefonicznie lub mailem. Gniazdo zostało puste, nikomu niepotrzebne. Jedynie tym dwojgu, co nadal liczą, że powrócą tu dzieci, wraz z nimi wnuki, że zapetnią się dom, że gniazdo ożyje. Ale gniazdo opustoszało na zawsze. A oni wciąż czekają. Jeszcze pełni nadziei. Coraz bardziej osamotniali i obrażeni na Los. Bo świat okazał się inny niż ten, jaki oni budowali.

Rozmyślenia o radości

Każdego dnia rano i po południu na wysokim szpetnym słupie, do którego jeszcze nie dobrali się złomiarze, siada kos i daje koncert, jakby się do występów w ptasim radiu przygotowywał. Z daleka słyszę też innego leśnego koncertmistrza i jego grzechot, jakby po grzebieniu przeciągał. Całoci dopełnia zapach pobliskiej łąki i równie bliskiego lasu.

Siadam więc w moim fotelu na balkonie i różne myśli chodzą mi po głowie. Właśnie mój przyjaciel dywaguje, jak to źle na świecie

(zajrzałem do słownika wyrazów obcych, by dowiedzieć się, że dywagacje to dyrdymały – to ku uwadze nadętych dywagowiczów). Daleko mu jednak w tych dywagacjach do kosowego piękna, więc wypijamy po pół kieliszka dobrego koniaku (on - nadciśnieniowiec, ja – cukrzyk), bo poprawi nastrój. Trunek spełnia nasze oczekiwania. Teraz świat wygląda inaczej, mój rozmówca się rozchmurza, nawet mówi, że tu jest ładnie, ale po minucie wpada w pesymizm. Chyba już się przyzwyczył. Drugą połowę, tę mniejszą, wypijamy, gdy kos kończy swój koncert. Odlatuje, zostawiając brzydki smutny słup, symbol samotności nikomu niepotrzebnej. Śledziennik dywagowiec poszedł. Siadę więc w moim fotelu na balkonie pełen radosnego nastroju. Kiedy tu się sprowadziłem, był ponury dzień początku zimy. Śnieg dopiero miał się pojawić, ale było go tyle, że wszystkie ponurości ziemi zakrył. Potem pozostała po nim gruba warstwa piachu, który przez kilka dni wywozili sprzętaczem. Teraz cieszy wczesna wiosna, już można zacząć się cieszyć zielonością młodej trawy. Przyjaciele odwiedzają, ciekawi obejrzeć zachwalany dom i podzielić moją radość z korzystnej przeprowadzki. Tylko wiesz, ten płot za oknem... Nie będę im tłumaczył, że pertrakcje ze złomiarzami były nieudane. Teraz już wiem, że przydaje się on kosowi, krukowi, szpakowi i sroce. Radość mi sprawiają, że na nim siadają, więc nie ma tego złego... Kiedy po odejściu przyjaciół zostaję sam i siadam na moim fotelu, wiosenne ptaki rozpoczynają swoje pienia, przywołują na pamięć śródmięjskie gotębie na dachach z potatanej papy. Kontrast olbrzymi. tym większa radość. Wszyscy poszli, jestem sam w fotelu. Został ze mną ten cudowny zapach kwitnącej łąki i wiosennego bliskiego lasu. jeszcze została resztką koniaku (kiedy się, u licha, opróżniła ta butelka?) i ten płot, tak szpetny, że nawet złomiarze nie chcą się do niego dobrać. Na niego też przyjdzie czas.

Rozmyślenia o dłoniach

Ulicą z przeciwka szli dwaj. Z daleka było widać, że chętnie uzupełniają normalne ubytki organicznych płynów oraz usiłują właśnie pogłębić różnicę zdań. Jeden, potężne chtopisko, zacementował mnie. Podaj

pan rękę. Podatęm zaskoczony i najeżony. Potrząsnął kilka razy, chwycił drugą dłoń. Z jego dłoni szło ciepło i poczułem sympatię do tego nieznanego. Kiedy już ochłonąłem, zapytałem, o co chodzi. Bo ja mu chciałem wpier... Przeszło? Przeszło. Zdrówko! Poszli dalej, ja jeszcze chwilę stałem. Jak to się stało, że na spacerze w parku usłyszałem: jak ci się będzie chciało coś zrobić niedobrego, podejdź do pani i podaj mi rączkę. To jej wychowawczyni rozmawiała z rozbrykanym przedszkolakiem.

Dawno temu przypadło mi zająć się grupą podmiejskich wyrostków. Trochę tylko od nich starszy i dużo słabszy przestraszyłem się, gdy podczas pierwszego spotkania otoczyli mnie w tzw. oprychówkach (tak nazywano pewien model czapki), niezyczliwie na mnie spoglądając – mówi się – spode łba. Bezwiednie podatęm im dłoń, każdemu po kolei. Pod koniec tej przygody, kiedy po kilku miesiącach ich żegnałem, prawie serdecznie zwierzyli się: bo wszyscy mają nas za chuliganów, a pan podał nam rękę. Ja im nie powiedziałem, co wtedy czułem.

Odchodzi już w niebyt pokolenie, dla którego dłonie były znakiem życia lub zagłady. Branym do niewoli polskim żołnierzom przedstawiciele narodu robotników i chłopów właśnie dłonie oglądali. Te naznaczone przynależnością do ludu pracującego pozwalały wyjść na swobodę, wypielegnowane kwalifikowały do udziału w zagładzie burżuazji świata.

Niesprawnymi dłońmi pani w sanatorium starała się utrzymywać w ładzie karty. Bardzo lubiła grać w brydża i bardzo źle grała. Przy posiłku także miała kłopoty z rękoma – dłonie nie były posłuszne jej woli. Też była po wypadku. Znakomita nauczycielka trzy lata pobierała naukę mówienia u logopedy, a kiedy się pozbierała, obroniła doktorat.

Ja nie uczony, więc wolę o dłońiach. Jak pięknie gestami i ruchami prześlicznych dłoni czarowała mnie i innych artystka, gdy już po wykładzie swobodnie gawędziliśmy przy kawiarnianych stolikach, a ona dłońmi ilustrowała, co mówi. Gdy recytowała wiersz Juliana Tuwima o dwu wiatrach, patrzyliśmy na jej dłonie jak urzeczeni.

Jakie piękne stają się dłonie, gdy służą do pieszczoty...

Pogodne, wesole, smutne, poorane, napiętnowane - to tylko niektóre przymiotniki, określające ludzką twarz. W latach trzydziestych ubiegłego wieku pojawił się nawet w psychologii kierunek nazywany fizjognomiką, wedle którego na twarzy odbijają się cechy osobowości człowieka.

Swoją twarz zobaczysz tylko w lustrze. A gdy nie masz świadków, możesz swobodnie porozmawiać o dniu minionym. Tego osobnika, który znajduje się teraz na przeciwko, powinieneś zapytać o ocenę tego, co w ciągu dnia robięś. Tylko poproś go, aby był z tobą szczerzy, mówił ci prawdę, a ty patrz mu prosto w oczy. Wytrzymasz, gdy ujrzysz spojrzenie niepochlebne, przyganę, niepokój o stan ducha i przyganę? Może okaże ci twarz radosną, gdy uzna, że dzienny bilans wypadł dodatnio, jest się z czego cieszyć. Ale mało kto prosi, by twarz z przeciwka była szczerą, jeszcze mniej słucha prawdy, gdy jest ona niepochlebna. To dlatego nie każdy zdobywa się na wieczorną chwilę zadumy nad sobą, nie każdy gotów jest uczynić obrachunek dnia, zwany rachunkiem sumienia.



Dwie twarze. Niestety, już z innego świata

Ta sama twarz. Być może obejrzana wieczorną porą w lustrze, w zadumie nad minionym dniem? Nie powie nam tego. Dawno już zabrała ze sobą tę zadumę do innego świata.

Lubię obserwować twarze przechodniów. Zgaduję wtedy, jaki jest ten człowiek, a na wielu twarzach widzę dobroć. Może dlatego, że przebywam wśród ludzi dobrych, rzadko zdarza się, abym się mylił w ocenach. Bywają przecięzi i pomytki. Może tylko zmiany w miarę upływu czasu.

Pięćdziesiąt lat temu zachwycata mnie swoją urodą, zauroczyła na wiele lat. Taką urodziwą zachowałem na fotografiach

z czasu młodości. Dawno niewidzianą, dawno zapomnianą zobaczyłem w telewizji, wygłaszała jakieś mądrości. Pani profesor. Zobaczyłem brzydką starą kobietę, bez tamtego wdzięku, z jakim patrzyła na mnie.

Inna piękna kobieta na długie lata pozostała w moim życiu, pozostała urodziwa nawet sporo ponad siedemdziesiątkę.

Czasem spotykam koleżankę z lat szkolnych. Myśląc o niej, mówiliśmy: w tamtej klasie są takie ładne, a u nas taka Magda. Była niepozorna, chłopcy się za nią nie uganiali, na studniówce ktoś z nią zatańczył raz i drugi. Teraz myślę, przypominając tamten czas, jaka ona była wtedy ładna. Niestety, jej uroda przeminęła razem z nią.



Pozostały w pamięci twarze ludzi dawno już bytujących w innym wymiarze. Jacy oni byli ładni... Zawsze dla jakiejś cechy szczególnej, zawsze w związku z jakimś wydarzeniem. Pani profesor Janina Kotarbińska, filozof, kiedy przechadzała się wśród nas podczas seminarium, a lubiła tak się zachowywać, unikałimy Jej twarzy. Bo wzrok miała taki, że zdawało się, iż cię do pięt przewierci, gdy spojrzy. Pan profesor Bohdan Nawroczyński ze śmiejącymi się oczami, gdy opowiadał anegdotę o swojej pierwszej lekcji w roli nauczyciela. Z dziennikiem pod pachą wszedłszy do klasy - a było to w gimnazjum żeńskim we Lwowie - huknął: rączki całuję szanownym panienkom. Zrobiło się cicho, a potem sala zatrzęsa się od śmiechu. Po latach analizuję tę opowieść pod kątem teorii ról. Kiedy Profesor tę anegdotę opowiadał, do teorii tej było jeszcze da-

leko. A sprawa ma się w ten sposób, że inni oczekują od nas zachowania stosownego do pozycji.

Twarze najlepiej widać przy stołach. Stosunkowo daleko przy okrągłych, bliżej przy kwadratowych, najbliżej przy trójkątnych.

Być może dlatego przy trójkątnych można się źle czuć.

Radość twórcza seniorów

Problemy nieprofesjonalnej twórczości

Twórczość amatorska to twórczość nieprofesjonalna nazywana tak dla odróżnienia od twórczości organizacji skupiających ludzi wykonujących zawody, potwierdzone dyplomami. Twórcy nieprofesjonalni, amatorzy, traktowani są jako zjawisko społecznie marginalne, a ich działalność jako sztuka gorszego gatunku - naturalisic, naturszczyki, amatorszczyzna, to powszechne określenia, jakimi ich się obdarza.

Należy w tym miejscu odnotować rezolucję parlamentu europejskiego z dnia 7 czerwca 2007 r. w sprawie społecznego statusu artystów. Zawiera postulat wspomaganie działalności amatorskiej. Oto fragment o niej traktujący:

„W kierunku restrukturyzacji działalności amatorskiej

31. podkreśla znaczenie amatorskiej działalności artystycznej jako ważnego elementu integrującego społeczności lokalne oraz czynnika wspomagającego budowanie społeczeństwa obywatelskiego;

32. podkreśla, że artyści bez odpowiedniego formalnego wykształcenia, którzy mogą mieć nadzieję na karierę artystyczną, powinni zostać poinformowani o niektórych aspektach zawodu artysty;

33. zwraca się w tym kontekście do państw członkowskich o promowanie i zachęcanie do działalności amatorskiej przy stałej współpracy z artystami zawodowymi;”

Wyliczam zawarte w rezolucji problemy dla tematu twórczości artystycznej: amatorska twórczość artystyczna jako rodzaj sztuki równorzędny twórczości profesjonalnej;

profesjonalna opieka nad artystami amatorami;

włączenie artystów amatorów do planu działań instytucji upowszechniania kultury;

realizacja niespełnionych aspiracji życiowych jako postulat sensu życia.

Dzieło twórcy nieprofesjonalnego, jak każde inne jest aktem przeżycia. Dostarcza twórcy radości z samego tworzenia, wybawia z życiowych dotków, bo pachnie lasem, nie zapomina o biedzie, kłania się Stwórcy, chwali co dobre i piękne. Pani Magdalena Tyszkiewicz, psychiatra z Akademii Medycznej w Gdańsku, od lat opiekująca się twórczością swoich pacjentów, nazywając to arteterapią, pisze: *„zajęcia plastyczne i literackie dla tego typu chorych, zwłaszcza seniorów, są wysoce terapeutyczne i przyczyniają się do włączenia ich do społeczeństwa. Najlepszym są wystawy ich prac plastycznych oraz tomiki wierszy ilustrowane również ich rysunkami i malunkami”*. Oto opis przeżywania końca twórczej pracy, zaliczenia seminarium: 3 XI 2005 r. *Pierwsza grupa ma zaliczenia, z wpisaniem do indeksu! Trzeba było widzieć tych ludzi „trzeciego wieku”! Jacy byli skupieni, zatroskani, zdenerwowani, czy ten zielnik zaliczą? czy na pytania wykładowcy odpowiedzą?, czy zapamiętają osiem nazw roślin po polsku i po łacinie?[...] Marek znalazł niezwykle skuteczną metodę – wykrzykiwał, patrząc na mnie z podejrzanym uśmiechem: a ty – *Urtica dioica* (pokrzywa), a ty – *Centauria* (chaber), ty, ty – *Plantago major* (babka zwyczajna) – może być, ty – *Thlaspi arvense* (tobotki polne).*

A inni? Poetka spod Ustki, Emilia Zimnicka, tak mówi o radości pisania i tworzenia:

„[...] przychodzą do mnie ludzie z wioski i proszą, bym czytała swoje wiersze na cmentarzu w trakcie pogrzebów. Więc ja czytam im. Ludzie płaczą, podchodzą do mnie i mi dziękują... czy to nie jest dowodem, że się moje rzeczy podobają? Czy to nie jest ważne, że im się podoba?”

Najstarszy z podstępskich wiejskich autorów, Jan Wanago z Wrześnicy, też mówi o satysfakcji z tworzenia:

„Ja jestem dumny i butny i sam siebie chwale, że piszę takie wiersze.”

Ja im zazdroszczę, bo w ogóle wierszy nie piszę.

Piszę te teksty z przekonaniem, że tworzę dzieło na miarę epoki. Gdybym był przekonany o tym, iż jest to nic niewarte, po cóż bym to robił? Nie ja pierwszy i nie ostatni przekonany o wolorach swojej twórczości, uznaję, że jest to dzieło na miarę epoki. Od oceny zaś są czytelnicy, bywalcy muzeów, teatrów i cyrków, nawet ogrodów zoo-logicznych (ci ostatni zwykłe oceniają, jak dane stworzenie udało się Panu Bogu). Dlatego w redakcjach siedzą ludzie, którzy mają najczęściej fatalny sąd o epoce, bo na tej ocenie opierają swoje redakcyjne oceny. Nawet postawili sobie pod biurkami przedmiot znany wszystkim literatom. Recenzenci i krytycy to paskuda, eunuchy, bo wiedzą jak a nie potrafią. Czuję jednak ten zachwyt nad swoim dziełem i moich rówieśników nad ich dziełami. Tym bardziej, że nieczęsto mają oni możliwość przeżycia publicznego widoku swojego wysiłku. Tworzą więc, podobnie jak ja, na swój użytek, wypisując, malując lub rysując swoje żale i radości, niepowodzenia i sukcesy życia. Oczywiście, na miarę epoki.

nany o tym, iż jest to nic niewarte, po cóż bym to robił? Nie ja pierwszy i nie ostatni przekonany o wolorach swojej twórczości, uznaję, że jest to dzieło na miarę epoki. Od oceny zaś są czytelnicy, bywalcy muzeów, teatrów i cyrków, nawet ogrodów zoo-logicznych (ci ostatni zwykłe oceniają, jak dane stworzenie udało się Panu Bogu). Dlatego w redakcjach siedzą ludzie, którzy mają najczęściej fatalny sąd o epoce, bo na tej ocenie opierają swoje redakcyjne oceny. Nawet postawili sobie pod biurkami przedmiot znany wszystkim literatom. Recenzenci i krytycy to paskuda, eunuchy, bo wiedzą jak a nie potrafią. Czuję jednak ten zachwyt nad swoim dziełem i moich rówieśników nad ich dziełami. Tym bardziej, że nieczęsto mają oni możliwość przeżycia publicznego widoku swojego wysiłku. Tworzą więc, podobnie jak ja, na swój użytek, wypisując, malując lub rysując swoje żale i radości, niepowodzenia i sukcesy życia. Oczywiście, na miarę epoki.



Widok wieczorny z mojego balkonu

Każdego dnia rano i po południu na wysokim szpetnym słupie, do którego jeszcze nie dobrali się złomiarze, siada kos i daje koncert, jakby się do występów w ptasim radiu przygotowywał. Z daleka słyszę też innego leśnego koncertmistrza i jego grzechot, jakby po grzebieniu przeciągał. Całości dopełnia zapach pobliskiej łąki i równie bliskiego lasu.

Siadam więc w moim fotelu na balkonie, i różne myśli chodzą mi po głowie. Właśnie mój przyjaciel dywaguje, jak to źle na świecie Daleko mu jednak w tych dywagacjach do kosowego piękna, więc wypijamy po pół kieliszka dobrego koniaku (on - nadciśnieniowiec, ja – cukrzyk), bo poprawi nastroje. Trunek spełnia nasze oczekiwania. Teraz świat wygląda

inaczej, mój rozmówca się rozchmurza, nawet mówi, że tu jest ładnie, ale po chwili wpada w pesymizm. Drugą potowę, tę mniejszą, wypijamy, gdy kos kończy swój koncert. Śledziennik dywagowiec poszedł.

Siedzę więc w moim fotelu na balkonie pełen radosnego nastroju. Kiedy tu się sprowadziłem, był ponury dzień początku zimy. Śnieg dopiero miał się pojawić i było go tyle, że wszystkie ponurości ziemi zakrył. Potem pozostała po nim gruba warstwa piachu. Teraz cieszy wczesna wiosna, już można zacząć się cieszyć zielonością młodej trawy. Po odejściu przyjaciół zostaję sam i siadam na moim fotelu, wiosenne ptaki rozpoczynają swoje pienia, przywołuję na pamięć śródmiejskie gołębie na dachach z połataną papy. Kontrast olbrzymi. tym większa radość. Został ze mną ten cudowny zapach kwitnącej łąki i wiosennego bliskiego lasu. Jeszcze została resztką koniaku (kiedy się, u licha, opróżniła ta butelka?) .

Pozostaje jednak w życiu każdego artysty-seniora Radość. Ta iskra bogów, dana każdemu, kto chce ją wykorzystać. Może prowadzić do stanu szczęśliwości.

Definicja sensu życia

Dla umocowania tekstu w obszarze tematycznym właściwym dla rozważań filozoficznych uznałem za potrzebne określenie sensu życia.

Sens życia to jedno z podstawowych zagadnień różnych systemów filozoficznych i religijnych. Wszystkie one próbują dać odpowiedź na pytanie, czym jest sens życia ludzkiego a także na pytanie jeszcze trudniejsze, co czynić, aby życie nasze miało sens. Odpowiedź na te pytania zawiera całą mądrość ludzkości. A posiadanie sensu życia przez człowieka jest koniecznym warunkiem rozwoju.

Jest wiele definicji sensu życia. Ja przyjmuję taką definicję, wedle której sens życia jest dążeniem do osiągnięcia określonego celu uznanego jako życiowo ważny.

Większość ludzi, bardziej lub mniej świadomie, wyznacza sobie sens życia indywidualnie, wspomagając się swoimi: wierzeniami, przekonaniem, wiedzą i uczuciami. Tworzy wartości, których osiągnięcie uważa

za najważniejsze, za godne przekazania potomkom.

Poszukiwanie sensu życia rozumiem więc jako uświadamianie sobie, jak daleko jesteśmy do osiągnięcia tego celu życiowo ważnego, jaki sobie wyznaczaliśmy, ile już osiągnęliśmy i ile jeszcze drogi mamy do pokonania. Wśród wielu celów życiowo ważnych mogę wymienić w postaci uogólnionej następujące:

- dążenie do pełnienia różnych funkcji i ról w życiu rodzinnym i społecznym;
- uzyskania satysfakcji i przyjemności – czyli realizacja postawy hedonistycznej, uniknięcia cierpień, niedogodności, trudności i wyrzeczeń;
- podejmowanie działań dla uzyskania dobrostanu zdrowotnego;
- podejmowanie zadań uznanych za szczytne w ramach własnego systemu wartości – realizacja postawy altruistycznej;
- osiągnięcia ostatecznego celu istnienia człowieka zgodnie z własnymi przekonaniem – czyli realizacja postawy religijnej;

Warto zauważyć, że cele życiowo ważne mieszczą się w ogólnym dążeniu do osiągnięcia szczęścia. Oto jedno z ważnych życiowych twierdzeń: człowiek osiąga stan szczęśliwości, gdy uzna, że cel jego dążeń został osiągnięty.

Sens życia to także treść życia. Cel życiowo ważny stanowi centralny ośrodek i sprawia, że wszystkie działania są mu podporządkowane.

*„Kto szuka sensu życia (...) zatroskany, by jego czyny nie były bezcelowe, a ściślej, by jego działalność nie wyczerpywała się w błahych przedsięwzięciach, lecz mogła się legitymować przydatnością do celu godnego poświęcenia mu głównych, najważniejszych wysiłków”.
Pisał Tadeusz Kotarbiński. Na marginesie warto zauważyć, że utrata celu życiowo ważnego prowadzi do destrukcji, objawiającej się stanami patologicznymi. To właśnie utrata sensu życia może prowadzić do autodestrukcji”.*

Twórczość poetycka

Jest najpowszechniej uprawiana po amatorsku. Mało kto bowiem, zwłaszcza dorastając, nie pisał wierszy, przyjmując za pewnik, że właśnie ta forma wypowiedzi nadaje się

do wyznań najbardziej intymnych sięgających sedna egzystencji. Oczywiście przeznaczonych dla świata i okolic.

Twórczość plastyczna

Inną formą aktywności seniorów jest twórczość plastyczna, równie często uprawiana przez artystów amatorów. Umiejętności hafciarskie przechodzą z pokolenia na pokolenie, wraz z umiejętnościami talent. Rola senierek jest w tym przypadku pierwszoplanowa - styną z tego Kaszuby, jeden z najbardziej wyrazistych regionów, gdzie tradycja i kultura ludowa zachowała do dziś swą pierwotną formę. Hafty kaszubskie i hafty podbeskidzkie to dwie domeny, chyba nie mające sobie równych. Chyba tylko hafty litewskie mogą się z nimi równać. Nie jeden raz widywałem je na pochodach, królowały w stępach litewskiej Cepelii, po litewsku zwanych Daile. Mniej znane i bardzo rzadko spotykane są prace wzorowane na amerykańskim patchworku. Przed wielu laty oglądałem dzieła niezwykle artysty nieprofesjonalnego z Kujaw. Były to obrazy tworzone z tzw. forniru, czyli szlachetnej okleiny meblowej. Zadziwiła precyzja dopasowania skrawków forniru i dobór różnych rodzajów drewna w autoportrecie, a tym bardziej w snopie zboża. Na targu sztuki ludowej w Mińsku kupiłem za dolary coś co nie jest obrazem, nie jest płaskorzeźbą, nie wiem jak to nazwać. Na korze brzoźowej (to przecież białoruskie drzewo narodowe) domalowano miszulkę - miśka, białoruską maskotkę.

Pozostaje jednak w życiu każdego artysty-seniora radość, ta iskra bogów, dana każdemu, kto chce jej doznawać.

Seniorska satysfakcja

Po co Panu doktorat?- zapytał mnie zapytany reporter. Po nico- odpowiedzia-

łem, żartem. Bo istotnie i ten dyplom i stopień doktora nie miały żadnej użytecznej wartości. Kilka tygodni minęło zanim przyzwyczałem się do tego, że ktoś mnie doktorem tytułuje. Nawet w rodzinie przyjęto wiadomość- choć z uznaniem - w pobliżu obojętności. Tylko



jedna kuzynka zdobyła się na aprobatę, mówiąc „jak już będziesz miał dyplom, zadzwoni, żebyśmy ci złożyła gratulacje”. A dyplom doktora uzyskałem, jako prowadzący zajęcia w klubie dla emerytów, załącznikiem uniwersytetu trzeciego wieku.

Dla mnie było to spełnienie życiowego marzenia, od ukończenia studiów w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Okoliczności życiowe, które zgotował mi los, sprawiły, że dopiero dożywszy emerytury mogłem to marzenie spełnić. Wartość tego życiowego osiągnięcia ocenilem, gdy ktoś za-

rzucił mi samochwalstwo. Powiedziałem temu osobnikowi znacznie młodszemu: *Kiedy będziesz miał lat siedemdziesiąt pięć i opublikujesz pierwszą książkę, kiedy staniesz przed rówieśnikami - słuchaczami jako wykładowca, kiedy napiszesz i zobaczysz w druku swoje uwagi na temat akademickiego dzieła, kiedy poprowadzisz studenckie seminarium - przyjdź do mnie. Ja na ciebie poczekam. Pogawędzimy o samochwalstwie, może i zarozumiałości albo pyszałkowatości. Ja na ciebie poczekam, choćby wiele lat.*

Tekst ten jest w całości autobiograficzny. Opisałem w nim zaledwie kilka radosnych przeżyć twórców zwanych nieprofesjonalnymi lub ludowymi. Cały rozdział poświęciłem twórczości naukowej. Jest rozdział o mnie samym. To dlatego wcześniej napisałem, że moich rówieśników rozumiem, gdy są dumni z tego co zrobili, podzielam ich radość tworzenia i satysfakcję z uznania. Być może fałszywego, bo zdawkowego, ale i tego prawdziwego.

O szczęściu

Pragnienie szczęścia, tęsknota za szczęściem, życie szczęśliwe- to różne określenia tej cechy ludzkiego życia, która mieści się na czołowym miejscu w spisie składników problemu

sensu życia i zaprzęta uwagę wszystkich tych, którzy zajmują się tworzeniem warunków życia - od poetów i filozofów po polityków i biznesmenów. Te hasła towarzyszą każdemu działaniu społecznemu niezależnie od tego jak prawdziwie czy fałszywie są głoszone, a wygłasza je teolog, lub ateista.

Zapewne każdy filozof napisał lub wygłosił tekst o szczęściu. *Par excellence* jest to temat filozoficzny i chyba tylko poeci i teologowie zajmują się nim więcej lub tak samo. Profesor Tadeusz Kotarbiński ukuł nawet termin felicytologia niezbyt powszechnie przyjęty. Wskazuje na starożytne korzenie filozoficznych rozważań o szczęściu. Wśród wielu autorów i tekstów, jeden w polskiej literaturze filozoficznej zajmuje miejsce poczesne, a każdy piszący o szczęściu czuje się zobowiązany odnieść się do tego autora i tej pozycji. Zapewne dla jej rozmiaru ale i tezy w niej postawionej. Mowa o Władysławie Tatarkiewiczzu i jego koncepcji szczęścia pojmanego jako zrationalizowany bilans.

O przemijaniu

Zaopatrzony w skromną emeryturę, znalazłszy się na życiowym aucie doczekałem nowego tysiąclecia.

W połowie stulecia pojawiło się pytanie, jak będzie wyglądać pierwszy dzień dwudziestego pierwszego wieku. Także myśl, czy ja tego dnia doczekam. Będę miał wtedy ponad siedemdziesiąt lat, będę starym człowiekiem. Doczekałem. Przeżyłem radość właśnie z tego powodu, że dzień ten zobaczyłem. Ale nic się nie zmieniło. 1 stycznia nowego tysiąclecia był taki sam jak w roku poprzednim.

Początek dwudziestego pierwszego wieku, początek trzeciego tysiąclecia przeżyłem bez większych wrażeń. Sztuczne ognie były takie same jak w poprzednim roku, Nowy Rok witano takim samym szampanem – może tylko przemówienia i toasty były więcej wyniosłe. Przekroczyłem siedemdziesiątkę, miałem otwarty przewód doktorski, i czekałem na wyznaczenie terminu egzaminów. Odespałem noc sylwestrową – pewnie dłużej niż przed laty - dopiłem resztki szampana, (furda, cukrzyca!) wziąłem łyżwy, by potańczyć na sztuczny lodowisku.

Tam jednak muzyka była inna. Nie dla mnie. Wieczorna randka też była inna. Miała być wedle scenariusza ze starej piosenki – do drzwi wchodzi miła starsza pani, orkiestra gra walca dla niej... Miła starsza pani była, owszem, ale ani orkiestry, ani walca. Tylko tandetny hałas puszczany przez jakiegoś osiłka zwanego didżejem.

Tak pisałem jeszcze kilka lat temu w tekście pt. *Pora na seniora*. Ale wtedy pory na seniora jeszcze nie było. Wszystko, co było do uciechy, co było do zabawy, co było do sprzedania i kupienia było dla młodych. Byliśmy z tyłu liceum, z przodu muzeum. Coraz częściej ostrzegają przed nimi policjanci. Coraz mniej tych, dla których my budowaliśmy nasz świat.

Coraz częściej ci, którzy zawsze chcieli urządzić świat dla innych- teraz nas, starych, chcą ustanowić obiektem ich troski. Zawsze starzeją się inni. Zawsze umierają inni. Radna, jeszcze w sile wieku, jeszcze sprawna fizycznie i intelektualnie, nie myśli o sobie. A przecież, kiedy podejmuje zabiegi o poprawę losu ludzi starych, tych innych, zapewne robi to także z myślą o sobie i swoim losie.

Wiem, co piszę. Zostałem sam. Jak oni. Gniazdo opustoszało, potomkowie rozproszyli się po świecie, nawet tak daleko, że tylko raz na kilka lat mogą się spotkać. Są sobie obcy, bo wiedzą o sobie tylko tyle, ile zechcą przekazać telefonicznie lub mailem. Gniazdo zostało puste, nikomu niepotrzebne. Tylko tym dwójgu, co nadal liczą, że powrócą tu dzieci, wraz z nimi wnuki, że zapełni się dom, że gniazdo ożyje. Ale gniazdo opustoszało na zawsze.

Starość nie radość

Starość nie radość. Ejże! Gdy się rodzisz, dają ci klapsa, żebyś wrzasnął. Potem oberwiesz, gdy czotgając się pod stołem, ściągniesz z niego serwetę a wraz z nią wszystko co tam było. Potem ubiorą cię pięknie i oberwiesz za to, że się w błocie utaplałeś - a tak było przyjemnie- i nie można się tobą pochwalić, że takie ładne dziecko. Pytasz, co mamusia z tatusem wyprawiali wczoraj pod kotłdrą, że mamusia aż jęczała, słyszysz, że dowiesz się jak dorosisz. Wtrącasz się do rozmowy, bo właśnie masz rewelacyjną myśl, jak zbawić świat, kar-

cą bo dzieci i ryby. Dziewczyna poszła do kina z innym- nic tylko się powiesić, a nauczyciele są głupi i sami nie wiedzą czego chcą. Potem masz szefa idiotę i namolną żonę, bo sąsiad ma samochód, a ty nawet balkonu nie masz.

Co na starość?

Nie ma szefa idioty, nie ma namolnej żony, nikt już klapsa nie da, właśnie nadeszła wiadomość, że zmarła studencka miłość, co kiedyś poszła z innym do kina. Można wygłaszać najgłupsze recepty na zbawienie świata, spisywać dla potomnych różne myśli, co przychodzą do głowy, gdy się nie ma co robić (nawet te głupie).

Pozostaje satysfakcja z tego, że fizjologia jest w dobrym stanie, że nie muszę korzystać z pomocy innych w najprostszych sytuacjach życiowych. I radość z życia. Jeśli los nie przeszkadzał i potrafiło się życie ułożyć tak, by teraz korzystać z dorobku wieloletniej aktywności, żyć nie umierać.

Atrybut starości wyróżnia człowieka, choć jest to etap w jego rozwoju. Ustaliły się granice wieku, poza którymi wiele dziedzin życia stało się niedostępnych. Te granice wyznaczyła nam sama przyroda, tworząc zjawisko przemijania. Taki jest człowieczy los. Najbardziej widoczne jest to w sporcie, szczególnie w niektórych jego dziedzinach, gdzie wiek 30 lat zamyka dostęp do nich, choć do wieku uznanego za starość jeszcze daleko. Sami seniorzy też do sportu się nie garną, uznając, że to nie dla nich. Wyjątkiem są szachy (sport to zdrowie, gramy w szachy) i brydż, i modny marsz z kijkami. Dopóki mogłem, biegałem. Rano o szóstej, alejami przydomowego parku. Trasa miała dokładnie 620 metrów, pokonywałem ją bez wysiłku w niecałe trzy minuty. Nie wiem, czy dla mojego wieku to była jakaś zawodnicza norma. Ale przyjaciel, maratończyk, chciał ją kiedyś zweryfikować. Poszedł trasę zmierzyć. Ty jak zwykle przesadzasz- stwierdził- tam jest 617 metrów. Masz babo placek!

Z tym maratończykiem miałem inną przygodę. Podczas terenowej wędrowki, pogubiiliśmy się w lesie. zaproponował, że pobiega po terenie i znajdzie punkt docelowy. Po godzinnym wyczekiwaniu wziętem na plecy jego torbę i samotnie ruszyłem, po harcersku, na niucha, do celu.

Maratończyk odnalazł się na mecie: „Nie masz pojęcia, co ja przeżyłem. Upała jak diabli, pić się chce, z jeziora pitem. A jak sobie pomyślałem, że w torbie jest piwo...” nie starczyło mi sił, by go tym piwem...

Potem był jeszcze rower, znany mi od dziecięcych lat. Ulubiony. Dwa razy przewróciwszy się, potłukłem się boleśnie.

Uznałem, że nie ma jak komputer.

Maratończyka Los zmusił do rezygnacji z biegania, trampki zamienił na łódkę, wędrował po jeziorach, to kaszubskich, to mazurskich. Rowerzysta zdał maturę, pewnie już skończył studia, ja rower odstawiłem.

Czas i miejsce na wspomnienie. To była pięćdziesiąta wyprawa. Najstarszy uczestnik, pan Józef Wojtczak, każdemu z uczestników wręczył woreczek z suszonymi ziołami zbieranymi podczas każdej wycieczki. Do woreczka dołączona była karteczka wielkości wizytówki z tekstem „**Wiosno trwaj! Jesteś piękna!**” Gdy w tekście tym zamieniłem jedno słowo, stanie się cytatem z Fausta J.W. Goethego. Przypomnę. Bohater poematu- postać autentyczna- pragnie powrotu do młodości. Zawiera kontrakt z diabłem, a jednym z warunków umowy jest wypowiedzenie tajemniczej myśli. Piękna Małgorzata skłania go do wypowiedzi „Chwilo, trwaj! Jesteś piękna!”. Ja wspominał czas sprzed dwóch tysięcy lat. Chyba wtedy właśnie przygotowywałem się do tematy legend arturiańskich, w tym legendy, o Świętym Graalu dla słuchaczy uniwersytetu trzeciego wieku. Bohater jednej z opowieści został skarcony za to, że nie zadał pytania, co uratowało by życie władcy.

Pora na seniora

Czas na napisanie refleksji o urodzie starszego wieku. Jest takie porzekadło, że starość nie radość. Ejże! Gdy się rodzisz, dostajesz klapsa. Od osoby przyjmującej poród. Żebyś krzyknął. Trochę podrośniesz, zaczniesz petzać, ściągniesz ze stołu serwetę- oberwiesz. Jeszcze trochę podrośniesz- oberwiesz za byle co. Potem pójdziesz do szkoły- brzydko piszesz. Pamiętam, jak obrywałem za nieładne pismo. Oto fotografia z roku 1938, pamiątka I Komunii. I słowa wnuka do matki, mojej córki: **masz pretensje, że ja brzydko piszę. Zo-**

bacz, jak dziadek pisat’. A szkoła? Nauczyciele są niesprawiedliwi. Pracą? Szef idiota, ja bym porządził. Żona? Wciąż gdera. Ty, fajt!po! Kowalski ma samochód, a ty nie masz nawet balkon. A teraz? Mam balkon, nie mam żony, nie mam szefa idioty, nie mam niemądrych nauczycieli. Wesole jest życie staruszka. Więc starość smutna? Ejże!

W ładnym kolorowym miesięczniku znalazłem się w towarzystwie trzech pięknych pań. Tak urodziwych, że z każdą z nich umówiłbym się na randkę, a ich zgoda stanowiła dla mnie powód do radości. Wszystkie trzy są ode mnie starsze.

Opowieść zastyszana. Podobno prawdziwa. Prawie stuletni Paryżanin uprzedził domowników, że wróci z kawiarni nieco później, bo spotka się z byłą sympatią z lat młodości. Wrócił jednak o stałej porze. – Nie przyszła? – Przyszła, ale siedziała przy stoliku jakaś starucha, więc wstydziłem się podejść.

Inna opowieść odnosi się do maila korespondentki o imieniu Anna sprzed kilkunastu lat. O swoim losie tak pisała do mnie: *Moja filozofia życiowa jest taka. Nie narzekam na |zły Los|.Dzielę zdarzenia na te ,które zależą ode mnie i na które nie mam wpływu. Wszystkie bardzo trudne i po ludzku rzecz biorąc beznadziejne sprawy i zdarzenia powierzam Panu Bogu jednocześnie gorliwie modląc się o siły by z pokorą przyjąć te krzyże na swe barki jeśli jest możliwe, by oddalił Pan ode mnie /ten kielich/.*

Przypadkowo wziętem kiedyś udział w dyskusji młodych na temat urody pod znanym hasłem z tytułu liceum. Zawzięcie przekonywali się, że starsze panie są urody pozbawione i przytaczali różne warianty braku urody. Ja, stary belfer, uznałem, że trzeba im coś na ten temat powiedzieć bo ja mam tyle do powiedzenia, że każdy czas ma swoje kanony urody. Właśnie uroda tych pań, oceniana jako muzeum z przodu jest urodą przeznaczoną dla mnie, bo moja uroda też do tej samej kategorii należy. Dla nich, młodych, jest inna uroda. Ona była też dla nas. Spójrzcie na nasze fotografie, kiedy liceum było nie tylko z tytułu. Jacy byliśmy ładni! Inną urodą, wedle innej mody oceniani. Pora na seniora.

O wartości czyli afirmacji życia.

Pod hasłem „wartość” w encyklopedii znajdujemy kilka znaczeń, iż jest to podstawowa kategoria aksjologii, oznaczająca wszystko to, co cenne i godne pożądania, co stanowi cel dążeń ludzkich.

Skromniej definiuje encyklopedia afirmację, które to pojęcie ja proponuję jako akceptację celu dążeń. To termin dziś prawie nieużywany, zwłaszcza w połączeniu z życiem. A chodzi właśnie o afirmację życia. Zastąpiło ten termin wiele innych, zdawało by się mądrzejszych, żaden jednak nie jest w stanie oddać walorów tego prawie zapomnianego. Proste tłumaczenie znaczenia tego terminu jako aprobaty życia właściwie nie oddaje istoty sprawy, bowiem jest ona złożona jak wszystkie ludzkie sprawy. Z całą pewnością jest to postawa zgodności własnego człowieczeństwa z otoczeniem – przyrodniczym, społecznym i własnymi cechami osobniczymi. Ale jest to także proces dojrzewania do dorosłości, przekształcania własnych poglądów, przyzwyczajień, poznawania siebie i wyrabiania rozlicznych opinii o sobie i innych. Ten proces ma charakter ciągły i w życiu osobniczym nigdy się nie kończy. Jest także poglądem na świat, czyli zespółem wiedzy i przekonań o rzeczywistości. Także bardzo różnych jej składnikach. W procesie kształtowania życiowych wartości pozytywnych, także tworzenia postawy afirmacji życia, nabiera zabarwienia różowego, czyli optymistycznego spojrzenia na życie własne i innych. Nie dziwi więc brak zadowalającej definicji dla tego procesu czy składnika osobowości. Dla spełnienia wymogów definicji klasycznej proponuję formułę, iż afirmacja życia to zespół postaw, procesów i przeżyć kształtujących pozytywny stosunek jednostki do otaczającej rzeczywistości i siebie samego.

Kartka z kalendarza

Minął dzień, minął tydzień. Minął miesiąc. Kilkadziesiąt kartek zerwanych z kalendarza. Ile tych dni, tygodni czy miesięcy czeka jeszcze mnie w życiu, ile tych kartek znajdzie się w koszu. Tego nie wiem ja, tego nie wie nikt. Gdy końca roku dożyję, będzie ich 366. Dałby Bóg, by nie jeden.

Na każdej kartce data, godzina wschodu i zachodu słońca., czasem zapis osobisty. Jak minął dzień, wizyta lekarza, wizyty u dentystki. Należy się tej pani dobre słowo. Podobnie pielęgniarkom. Nieczęste to zapisy, bo ciężkie doświadczenia Losu, bolesne nieprzespane noce, samotne dni.

Te kartki z kalendarza wyrzucę do kosza i nikt nie będzie wiedział, że odliczały dni mojego życia. W kalendarzu zanotowałem przed laty myśl ks. profesora Józefa Tischnera: ***człowiek idzie przez życie wyznaczoną drogą; gdy mu się drogowskazę pomyłką, życie mu się pop...***

Nie ma, niestety, zapisane jak te dni przeżyłem, co mnie wczoraj lub kilka dni temu spotkało. Bo ta wczorajsza kartka już w koszu, a dzień przeminął. Trzeba mieć naturę znanej pisarki, by notować dzień po dniu przeżycia, wydarzenia, w których się uczestniczyło lub których było się świadkiem i myśli, które im towarzyszyły. Nie zapiszę więc dla potomnych, że zakochałem się na zabój w ślicznej prezenterce telewizyjnej, ale z powodu kataru nie mogłem jej tego powiedzieć. A może powód był inny? (jedna zazdrosna mówi, że ta prezenterka wytrzeszcza gały jak żaba, twarz ma bez wyrazu jak z podręcznika o chorobie Basedowa i co chwila podskakuje jakby jej kto podkładał pinezkę). Potomni nie dowiedzą się, że stanąłem w oknie i położywszy pod łokcie poduszkę gapilem się bezmyślnie jak ludzie chodzą po ulicy, wchodzą do sklepów, co myślę o panu z pierwszej strony mojej ulubionej gazety. Z kim umówiłem się na kolację i czy ta kolacja zakończyła się śniadaniem. Nie przejdę więc do historii jako autor dzienników wydanych w wielu tomach. Nawet te kartki z kalendarza wyrzucę i nikt nie będzie wiedział, że odliczały dni mojego życia.

A jednak chciałbym, aby coś po mnie pozostało. Na pewno pozostaną zapisy w księgach: że powitałem kiedyś świat, i że się kiedyś z nim pożegnałem. Bo jestem tylko jednym z wielu milionów ludzi na świecie, o których nie pisze się dzieł. Ale my wszyscy tworzymy ten świat, two-

rzymy jego dzieje, jesteśmy odbiorcami dobra tworzonych przez tych, którzy w zapisach na długi czas pozostaną. Dlatego, że tworzyli, działali i żyli dla takich jak my.

A kartka ze ściennego kalendarza będzie nie o mnie. Będzie, co da Los

Dwudziesty pierwszy wiek

Był rok 1950. Mieliśmy wtedy po dwadzieścia kilka lat i daleko nam było do starości. Ale w połowie wieku dwudziestego zadawaliśmy sobie pytanie, czy dożyjemy wieku dwudziestego pierwszego i jak będzie wyglądał początek nowego tysiąclecia. Teraz już obchodził nas przyszły Los.

Potem był rok 1960 i następne dziesięciolecie. Każde obfitowało we wstrząsy ideowe, każde niósło ze sobą obawy o przyszłość i w każdym powtarzało się to pytanie o początek nowego stulecia. Coraz bardziej zbliżał się czas rozstania z tym najlepszym ze światów, ale zawsze odchodzili inni. My trwamy. Nasz Los jeszcze trwa. Mijał dzień. Mijał tydzień, miesiąc, rok. Ile tych dni, tygodni, lat czeka mnie jeszcze w życiu? Ile jeszcze zerwę tych kartek? Tego nie wiem ja, tego nie wie nikt. Ale, gdy dożyję, będzie ich w tym roku 365, może jeszcze będzie i taki rok, kiedy będzie 366. Dałby Bóg, żeby nie jeden. Dałby Los.

Prosto z Sokratesa

Dajmon

***Coś ty Atenom zrobił, Sokratesie,
Że ci ze złota statuetkę lud niesie,
Otruwszy pierwej...
C.K.Norwid***

W filozofii starożytnej: był to ostrzegawczy głos wewnętrzny powstrzymujący przed czynieniem zła, imię nadane przez Sokratesa bóstwu, którego głos jakoby słyszał przed wszystkimi ważnymi postanowieniami. W słynnej obronie tak o tym wewnętrznym zjawisku mówił:

„To pochodzi stąd, że jakeście to nie raz ode mnie słyszeli, mam jakieś bóstwo, jakiegoś ducha, Dajmona. To u mnie już tak od chło-

pięć lat: głos jakiś się odzywa, a ilekroć się zjawia, zawsze mi coś odradza, cokolwiek bym przedsiębrał, a nie doradza mi nigdy”

Antyczne interpretacje filozofów wskazywały na owego sokratesowego Dajmona jako na ducha opiekuńczego, który ostrzega przed czynem niegodziwym, jak setki lat później chrześcijański Anioł Stróż, do którego się w dzieciństwie modliłem słowami: „Aniele, Boży stróże mój, ty zawsze przy mnie stój... bądź mi zawsze ku pomocy”.

A w moim życiorysie były baterie do latarki właśnie o nazwie Dajmon.

Sumienie

Wielu późniejszych interpretatorów wskazywało na Dajmona jako na sumienie, co można uznać za nietrafne, bo sumienie zawsze się odzywa po czynie nieetycznym, a nie ostrzega przed nim. Jedna z definicji sumienia- nieteologiczna- określa je jako zdolność oceny czynu stosownie do panujących norm etycznych.

Jakiegokolwiek przyjęć podstawy dla zjawiska- ideowe, czy racjonalistyczne- to nie da się zaprzeczyć, że nie każdemu zdarza się słyszeć ów wewnętrzny niewytłumaczalny sprzeciw wobec podejmowanego działania. I zadowolenie, że ten głos został przyjęty, a czyn niegodziwy nie dokonał się.

Gdy zaś ów czyn się spełnił, odezwano się sumienie. Było już za późno. Dosadnie określił to ks. Józef Tischner: „człowiek idzie wytyczoną drogą. Gdy mu się drogowskazy pomylą, życie mu się pop...”

Zarówno teologiczne jak i materialistyczne refleksje wskazują na zdolność wyboru. Zdaje się, że jedne i drugie biorą początek w sokratesowym Dajmonionie. Ja nie zawsze potrafię odnieść się do sokratesowego głosu ostrzegającego. Raczej zdarza mi się sumienie. Refleksja po czynie. Niestety, zbyt późny to głos.

Baterie miały nazwę Dajmon. Kupowałem je jeszcze wiele lat po wojnie do harcerek latarki.

Rozdział trzeci

Moje fascynacje

Podobnie jak innym, mnie w całym życiu towarzyszyły różne tematy. Miały one charakter incydentu, ale te incydenty trwały krócej lub dłużej, zależnie od ich emocjonalnej albo ideowej wartości. Niektóre z nich przetrwały do późnych lat.

Zacząło się to już w gimnazjum na tajnych kompletach. Zaimponowała gimnaziście postać Erazma z Rotterdamu, jego erudycja i kontakty z intelektualną elitą Europy. Potem (nie potrafię podać kolejnych chronologicznej) był Janusz Korczak, kilka zakładów wychowawczych na Korczaka jako patrona z mojej inspiracji. Olga Skorochodowa, Rosjanka, głuchoniema autorka książki z lat pięćdziesiątych ub. wieku. Była też amerykanka, ale z wiadomych względów politycznych tamtego czasu tylko z bibliografii o niej wiedziałem.

Byli też fascynujący, komuniści, ich życiowe sukcesy i podawane wzory do naśladowania, Poemat pedagogiczny (Antoni Makarenko) i Jak hartowała się stal (Mikołaj Ostrowski).

Był Tadeusz Kotarbiński i jego idea etyki niezależnej. Był francuski filozof, Jaen Paul Sartre i jego filozofia. Modny wtedy jego czarny pulower noszę do dzisiaj. Był, wyklęty dziś, marksizm i wolnomularstwo. Wszystko to na stare lata stworzyło mieszanekę ideową, w której struno rozdzielić, co ważne, a co tylko było. Wszystko to były incydenty młodzieńcze lub wcześniej po studiach. Dłużej lub krócej trwające. Na trwałe pozostało kilka z nich, jako postaci lub reprezentowane przez nich idee.

Dotrzeć do gwiazd

Jest ich wiele. Są takie książki. Są takie filmy. Jest taki tytuł. Mają ten ty-

tuł te książki, mają ten tytuł te filmy. Ma ten tytuł także jeden z rozdziałów tego tekstu. Tym bardziej, że odpowiada na postawione pytania.

***Gwiazdy nade mną wydały sąd.
Czy stanę się ich wybrańcem?
Czy tylko częstką gwiazdnego pyłu?***

Od lat zadaję sobie to samo pytanie, od lat nie znajduję na nie odpowiedzi. Co sprawia, że wyszedłszy na balkon, szukam wieczorem jasnego punktu na niebie, Gwiazdy, zwanej Wielkim Psem albo Psią Gwiazdą? To Syriusz. Przed laty, na innym terenie, najbardziej widoczny był Wielki Wóz czyli Wielka Niedźwiedzica. Wtedy nie było miejskich latarni, skutecznie z gwiazdami konkurujących. A Wielki Wóz na niebie był zupełnie taki sam, jak ten wymoszczony słomą, którym późnym wieczorem jechaliśmy do Babci. Ot, cztery koła i dyszel, czyli hołobla. Na jej końcu zamiast Gwiazdy - koński zad. Po tamtych dniach dzieciństwa pozostała tylko pamięć kotysanki

***Idzie niebo ciemną nocą,
Ma w fartuszkach pełno gwiazd...***

Niejeden raz przekonaliśmy się na własnej skórze jak bezduszne siły tego świata przesądają o życiu człowieka. Starożytni Grecy sądzili, że człowieka otaczają tak potężne moce, iż niedorzecznością jest mniemać, jakoby mógł on sam stanowić o swoim losie. Człowiek jest zmuszony podporządkować się siłom, wobec których sam jest bezsilny. Wyrazem tej wiary było przekonanie, leżące u podstaw astrologii, że wszystko, co się dzieje na ziemi, jest określone przez procesy dokonujące się w świecie gwiazd, bez porównania potężniejszym od ziemskiego.



Według powyższego wykresu i daty urodzenia (28.XI) jestem Strzelcem. Oto mój przypuszczalny horoskop ogólny, wystawiony przez eksperta od horoskopów: *Najważniejszymi wartościami dla Ciebie są wolność i niezależność. Pragniesz doświadczać coraz to nowych, niezapomnianych wrażeń, gdyż Twój żywioł to ogień, który podsyca apetyt na przygodę. Ponadto jesteś spragniony wiedzy, niezwykle byskotliwy i energiczny, ale czasem odzywa się w Tobie złośliwa natura. Nie wszyscy ludzie potrafią Ciebie zrozumieć, dlatego dbaj o swoich przyjaciół, bo Twoja lekkomyślna postawa może doprowadzić do katastrofy.* (Ilustracja pochodzi z książki Rafał Prinke, Leszek Weres Mandala życia 1982 Poznań)

Wedle innych przekonań, życiu każdego człowieka towarzyszy jego osobista Gwiazda. Tylko jemu jednemu błyszczy. Oto wiersz Bronistawy Bojarojć z Klubu Miłośników Sztuki w Gdyni przy Centrum Zdrowia Psychicznego pod opieką doc. dr Magdaleny Tyszkiewicz:

*Gwiazda mnie odwiedza
w dzielnicy ludzi ubogich.
Ona będzie mi opowiadać
o życiu, o miłości.*

*Jest ona błękitna
w naszym kościele
Czekać będę zimy
z jej śnieżną piosenką.*

Śpiewał mi ojciec przy wtórze gitary
o gwiazdeczce, co błyszczała, gdym ja ujrzał świat.

*O gwiazdeczko, coś błyszczała,
Gdym ja ujrzał świat.
Czemu to dziś gwiazdka mała
Twój promyczek zbladł?*

*Czemu już mi tak nie świecisz,
Jak za dawnych lat,
Gdym na matki igrał tonie
W promienistych snach.*

Pewnie swojemu dziecku, wtedy urodzonemu, śpiewał podobną pieśń Hiszpan idący na barykadę Madrytu:

*Estrellita, estrellita
la primera que veo,
quiero que seas buena
y me concedas un deseo
Estrellita, Como estás?
Me pregunto, Que serás?
Un diamante debes ser
di si tu me puedes ver.*

Chce tę gwiazdę poznać, ogarnąć jej otoczenie, by wiedzieć, jak do niej dotrzeć i osiąść na niej, jak znany polski szlachcic. Tyle, że mu się gwiazda z planetą pomyliła.

I ten nieodgadniony, nieobliczalny, najbardziej stanowczy - Los.

Co jest za tą bramą?

*Siedział święty Piotr u bramy
Oj, rety!
I zjadał smakowite kotlety.
Wtem ktoś stuka w bramę złotą,
Święty Piotr się pyta „kto to”*

Tak zaczyna się legionowa piosenka, śpiewana przez mojego Ojca. A ja nie podejmuję kwestii świętego Piotra. Ja sam stawiam mu pytanie, na które nie ma odpowiedzi.

Od czasów najdawniejszych w myśli ludzkiej pojawiało się pytanie o miejsce człowieka na ziemi, a potem, w postaci bardziej ogólnej, o miejsce we wszechświecie. Najbardziej skrajne fantazje o ist-

nieniu cywilizacji podobnych, do ziemskich do dziś zaptadniają poszukiwania uczonych, a zagadka nadal pozostaje zagadką. Zagadką jest sam człowiek. Należy do królestwa zwierząt, nie różni się niczym we wszystkich funkcjach biologicznych od zwierząt, a zwierzęciem dawno nie jest. Jest częścią przyrody, ale dawno już od przyrody się wyodrębnił. Jest częścią wszechświata, a dawno już stanął ponad nim. Wyzwoliwszy się z przyrody, stanąwszy ponad wszechświatem, tak daleko się w zarozumiałości zapędził, że zapomniał, iż jest tworem najmniej przystosowanym do warunków otoczenia ze wszystkich twórców przyrody. Każdy, nawet najbardziej pierwotny twór, jest lepiej przystosowany do życia, aniżeli istota na najwyższym poziomie rozwoju w obszarze zwanym królestwem zwierząt. Zarazem w toku rozwoju gatunkowego stworzył sobie takie warunki, że jest w stanie istnieć i rozwijać się. Nie ma jednak odpowiedzi na pytanie, czy to istnienie może przetrwać i jak długo, bo nie wiadomo nawet, jaką miarą mierzyć czas. Oto inny przykład tej zagadki człowieka. Takie żywe organizmy, jak ludzie, charakteryzują się świadomością, inteligencją, poczuciem piękna, etyką, moralnością itp. Te właściwości ludzkie wymagają również energii, lecz z punktu widzenia organizmu – pseudomaszyny, nie są istotne, ani potrzebne.

Pierwszym czynnikiem, który kształtuje reakcję na to co się dzieje w świecie zewnętrznym i wewnętrznym człowieka, jest ogląd świata. Od niego zaczyna się nasze postrzeganie i nasze reakcje. Jest na początku bardzo fragmentaryczny i do tego nie własny, narzucony przez rodzinę i społeczeństwo. Potem w miarę dojrzewania dochodzą własne składniki i powiększa się jego szerokość.

Funkcjonowanie naszego aparatu poznawczego jest bowiem ściśle związane z naszym funkcjonowaniem w środowisku jako większej całości, której jesteśmy częścią. Zaś nasze zdolności percepcyjne umożliwiają nam dynamiczne relacje adaptacyjne z tym środowiskiem. Przy czym, zarówno my adaptujemy się do otoczenia, jak również adaptujemy otoczenie do sie-

bie, także wywierając na nie nacisk.

Przyszło nam żyć w etapie ewolucyjnego rozwoju, charakterystycznym w tym, że jest wejściem do społeczeństwa wiedzy. Staje się ona najważniejszym składnikiem każdego produktu społecznego: informatycznego czy też materialnego. Wiedza sama przez się staje się elementem ludzkiej świadomości, dominując nad całym życiem. Mimo postępu technologicznego, bogacenia zasobu intelektualnego, nie ma odpowiedzi na pytanie, co sprawia, że człowiek pragnie poznać przestrzeń i czas, zdając sobie sprawę, że jest to nad możliwości. Czy tłumaczenie, że jest tylko kwestia czasu, nie jest przyznaniem się do niemocy. Banalne stwierdzenie z dziesiętnastego wieku, że nikt nie ogarnie tego, co jest nieogarnione, nie jest przecież igraszką słowną. Nie ma odpowiedzi na pytanie, czy jest nieogarnione, co ogarnąć chcemy.

Gwiezdny pył

*Weit mußst du gehen,
bis an die Enden der Erde,
bis an den Raum der Sterne,
um zu erfahren,
wo du stehst, wie du lebst
und wer du bist.*

*Daleką drogę musisz przejść
do krańców Ziemi,
tam gdzie bytują gwiazdy,
by pojąć
gdzie jesteś, kim jesteś, jak żyjesz
(tłum. moje)*

Niebo gwiazdziste nade mną

Z górą dwieście lat temu mój znakomity kolega po filozoficznym fachu był tak zafascynowany gwiazdami, że na wieczną pamięć zapisał, iż niebo gwiazdziste nad nim napawa go podziwem i szacunkiem. Może wtedy, jak ja dzisiaj,



na balkon, wychodził wieczorem na strych królewieckiej kamienicy, by stwierdzić, że dobrze widoczny Syriusz świeci jak zawsze, a Wielki Wóz toczy się w tę samą stronę. Potem spokojnie ukiadał się do snu, świadom stałego, przedwiecznego porządku, by nazajutrz zapisać myśl do dziś powtarzaną. Bo świadczy i o naszym podziwieniu dla świata wciąż nieznanego i wciąż poznawanego i o naszej pokorze wobec niego i o naszych nieustannych porażkach, gdy w niepokorze dufni w swoją wszechwiedzę wkraczamy w głęboką niewiedzę.

A kiedy dojrzą bez trudu jasnego Syriusza, doznają uczucia, że w koto panuje ład i spokój. Gdy na niebie zachmurzonym Psiej Gwiazdy nie widzę, nie widzę też innych gwiazd, nawet Księżycy, brakuje mi tego poczucia ładu.

Wielkie zdanie z dzieła wielkiego filozofa wszechczasów skróciłem, bo druga jego część - o prawie moralnym - dotyczy innej sprawy. Pierwsza - ta o niebie gwiazdzistym - jest a propos. Po upływie kilku tysięcy lat wielki filozof - jak jego poprzednicy - nadal nie wie, jak to się dzieje, że gwiazdy trzymają się ustalonych tras, mają odwieczny wpływ na losy pokoleń, a jego napawają szacunkiem i podziwem. Ja jestem, zaledwie częścią tego gwiazdnego pyłu, podzielałam pogląd Mistrza i pogląd ten opisuję.

Noos to gwiazdny pył?

Należy w tym miejscu rozważyć powstałą przed prawie trzema tysiącami lat myśl o noosie, czyli potędze rozumu.

Wedle tamtej koncepcji ziemię otaczał Rozum, który cały ten chaos dookoły utrzymywał w ładzie i porządku.

Wyraźnie widać to właśnie u Hegla. Jego idea wszechpotęgi rozumu jako Absolutu załamuje się w niemocy człowieka wobec Losu. „Początkiem nauki o moralności jest cześć, jaką winniśmy losowi - Principium scientiae moralis est reverentia fato habenda” - napisał.

Prawie dwa tysiące lat minęły, jak za sprawą Leibniza koncepcja ta wróciła jako dorobek ludzkości. A wiele lat później katolicki zakonnik, jezuita, Teilhard de

Chardin, idee tę oblekł w teorię, że ziemię otacza sfera złożona z dorobku myśli ludzkiej. Czyżby ten noos tworzył ów gwiazdny pył, a pył ten z kolei był tą opisywaną przez Chardina noosferą? Dodajmy do tego myśl, że każdy rodzący się ma swoją gwiazdę. A blisko będzie do tych urzeczonych gwiazdami, co astrologami się zwą. Zbyt mało mam wiedzy, by się w tę sprawę włączać. Ale przecież wystarczy trochę przeczytać, aby się nie natknąć na astrologię.

Astrologia i astrologowie

Gwiazdy nade mną wydały sąd.

Czy stanę się ich wybranem?

Czy tylko częścią gwiazdnego pyłu

Fascynacja gwiazdami sprawia, że obok nauk astronomicznych i ogromnej grupy uczonych pojawia się duża grupa ludzi, którzy szukają w gwiazdach swego losu. Duża grupa ludzi, którzy szukają w gwiazdach losu innych. Chyba sporo takich, co swoją wiedzę sprzedają. Zbyt mało mam wiedzy, aby to zjawisko oceniać. Ale trochę miejsca w moich dociekaniach staram się poświęcić, aby zrozumieć, jakie miejsce sam w tej dziedzinie zajmuję. Przyglądam się poszukiwaniu miejsca człowieka w systemie zwanym wszechświat, którzy astrologów do swojego środowiska nie dopuszczają. Antropologom wolno być uczonymi, kosmologom też, wielu z nich ma światową sławę, estymę i mir, dostęp do najwyższych naukowych zaszczytów. Astrologom wszystko to jest niedostępne.

Nie idzie o tych wyrobników, co niewielkim tekstem gazetowym grosze zarabiają, pisząc tzw. horoskopy. Nie sądzę, aby czytelnicy gazet kupowali je tylko dlatego, że na ostatniej stronie wyczytają, że w bieżącym dniu powinni właśnie załatwić jakąś ważną życiową sprawę. Na dodatek nawet nie wiedzieli, że ona jest ich sprawą.

Idzie o ludzi wielkiej wiedzy, opisującej zjawiska na skalę ogromną. Ale idzie też o czytelników bez dostępu do hermetycznej wiedzy, jak ja, zafascynowanych gwiazdami. Takich, co wieczorną porą,

gdy niebo pokryte jest gwiazdnym pyłem, wychodzą na balkon, by w tym pyłe dojrzeć tę swoją gwiazdę.

Skąd w ogóle we mnie to przekonanie, że mojemu życiu towarzyszy gwiazda i ona jest moją gwiazdą. Kiedy czasem sięgam po wiedzę astronomiczną, a jest ona mi dostępna tylko w bardzo niewielkim ułamku tego, co wie astronom, to nie mogę oprzeć się wrażeniu, że jest tam na nieboskłonnie także ta moja gwiazda. Nie wiem tylko, co się z nią stanie, gdy przyjdzie ta chwila mojego pożegnania. Co się z nią stanie? Co stanie się ze mną? Astrolog, być może, zna odpowiedź na te dwa pytania. Być może jest tak, że przychodząc na świat pociągnąłem za sobą gwiazdę na całe życie, a może jest tak, że to gwiazda wyznacza mój los. Może trafię na takiego mądrego, co mi ten los przepowie?

Przeczytałem kilka tekstów na temat, o którym teraz piszę. Oto dzieło światowej sławy księdza profesora. Zamierzone jako tzw. popularno-naukowe. O wszechświecie. Nie zrozumiałem, o co tam chodzi. W kilku wywiadach ten wielkiej sławy i wiedzy uczoney kapłan opowiada, czym się zajmuje w czasie, gdy nie zajmuje się postugą kapłańską. Przeczytałem też dzieło kapłana sprzed kilkadziesiąt lat, podobnej treści. Kiedy tę swoją wiedzę uprawiał, nie tylko ja nie rozumiałem, o co mu chodzi.

Nie rozumieli go jego współwyznawcy. Zamknęli go w klasztorze, przypomnieli, co im przyrzekał, a w ostateczności milczeć kazali.

Ale ludzi wolnych od kapłańskiej lojalności do milczenia nie zmusisz. Gdy mają cokolwiek do powiedzenia. Sądzę, że tak powstawały grupy ludzi poszukujące sensu istnienia wszechświata zbudowanego z gwiazd i międzygwiazdnych przestrzeni.

Villon

*Wielki testament
tu leżą, z amora dtoni srogię,
z sercem boleśnie skaleczonem,
zaczyna lichy y ubogi,
co był franciszkiem zwan wilonem;
ano tedy, za wilona,
odmówcie bogu ten wierszyczek:
day bóg spoczynek zastużony,
światłość y pokój wiekuisty*

*temu, co pługa ani brony
nie posiadał, ni koszuli czystey;
srogim wyrokiem przepędzony,
wbrew apelacyi uroczystey,
w sam zadek celnie ugodzony,
błąkał się tutajcz wiekuisty.
day bóg spoczynek zastużony...*

Był rok 1946. Pierwsza polska prawdziwa szkoła. Piszę „prawdziwa”, bo wszystkie dotychczas były szkołami „na niby”. Bez zeszytów, bez książek, bez sal. Bez lekcji. Tylko profesorowie byli prawdziwi i nauka była prawdziwa. To były komplety. Czego się wtedy nauczyłem, umiem do dziś.

Pani od francuskiego, co studiowała na wielu uniwersytetach świata, żadnego nie ukończywszy, zawiozła nas do teatru. Też prawdziwego. Na przedstawienie pt. „król włóczęgów”. Jedną lekcję wcześniej poświęciła poecie, skazanemu na śmierć za złodziejstwo, rabunek, wreszcie za bandytyzm. Pozostały po nim poezje w historii literatury znane jako poezja średniowieczna. Wielki Testament, Ballada do ukochanej, Ballada o paniach minionego czasu, to tylko niektóre, zapamiętane.

To był mój pierwszy pobyt w teatrze. Zostały po nim w pamięci piękne poezje, uroczą liryka i piękni aktorzy. Także fascynacja teatrem. Także fascynacja tym włóczykiem, zbirem, złodziejem bandytą i poetą. Z pięknego przedstawienia i równie pięknego filmu lat młodości pamiętam niektóre fragmenty, jak ten „do nas, do nas, na włóczyki-je i opryszki, hej! Do nas, do nas na żebraczy sejm... a ty, szelmo, wino lej!” Coś mi tu nie pasuje. Po siedemdziesięciu latach... Pozostała pamięć i pytanie odwieczne „ach, gdzie są niegdysiejsze śniegi?”

Święty Graal

Żaden obiekt nie budził tylu emocji, tylu kontrowersji, takiego zainteresowania. Opowieść o nim ciągnie się przez wieki - poczynając od eposów rycerskich, rodem ze Średniowiecza, poprzez opracowania autorstwa zarówno poważnych badaczy, jak i hochsztaplerów wszelkiej maści, aż w końcu udało jej się zaistnieć w ramach kultury masowej.

Był natchnieniem dla eposów rycerskich w średniowieczu, jako ideał poszukiwany przez rycerzy króla Artura. Stanowił źródło natchnienia dla pisarzy, malarzy i muzyków. Wielu badaczy dociekało, czym może być Graal. Na ten temat istnieje niewyobrażalna wręcz ilość książek, które są zarówno opracowaniami autorstwa poważnych naukowców, jak i hochsztaplerów, uprawiających pseudonaukę. Graal pobudza marzenia i fascynuje właściwie w każdym pokoleniu.

W XX wieku Graal zaistniał w ramach kultury masowej. Okazało się, że można nieźle zarobić, jeśli jakaś książka będzie miała w tytule słowo „Graal”. Graal inspirował zarówno artystów, naukowców, jak i poszukiwaczy skarbów. Artyści starają się zafascynować nas urokiem tajemnicy, zaś badacze i poszukiwacze chcą przeniknąć sekrety i dotrzeć do korzeni zawartych w niej treści i symboli, które według nich tkwią znacznie głębiej, niż w literackiej tradycji czy ludowej wyobraźni. Jednak i twórczość literacko-filmowa, i prowadzone badania oraz poszukiwania mają niewielki związek ze starą chrześcijańską legendą, za to można w nich odnaleźć całe mnóstwo wątków niezłe pasujących do myśli gnostycznej tudzież związanych z New Age.

Legenda o świętym Graalu jest jedną z najstarszych legend starochrześcijańskich i związana jest z przekazem ewangelicznym o Ostatniej Wieczerzy. W rozmaitych opowieściach święty Graal przybiera wiele form.

Czym jest Święty Graal?

Sceptycy twierdzą, że to tylko mit. Innych ponosi wyobraźnia i wtedy się okazuje, że Święty Graal może być dosłownie wszystkim. Tymczasem w tradycji chrześcijańskiej Święty Graal to zawsze kielich, w którym Jezus podczas Ostatniej Wieczerzy przemienił wino w swoją krew.

W ostatnim niedokończonym tekście Christiena de Troyes „Perseval la Conte del Graal” Christena de Troyes z 1190 r. pojawia się Graal po raz pierwszy jako postać literacka.

Graal zawdzięcza swoją sławę, najpo-

pułarniejszemu ze wszystkich średniowiecznych romansów dziełu „Joseph d’Armathie” Roberta de Boron (ok. 1200 r.). Robert de Boron utrzymywał, że opowieść o Graalu zaczerpnął z księgi, w której duchowni chrześcijańscy spisali historię i wielkie tajemnice, a jedna z nich nosi miano Graala”. Po raz pierwszy poznajemy dokładny opis Graala oraz pochodzenie relikwii, którą Robert nazywa „Świętym Graalem”.

Według tej wersji, po zgodzie Piłata na pogrzebanie Jezusa, Józef z Arymatei otrzymuje od niego kielich, którego Jezus używał podczas Ostatniej Wieczerzy. Do tego kielicha Józef zbiera też kilka kropli krwi Jezusa.

Gdy okazało się, że w grobie nie ma ciała Jezusa, Józef został wtrącony do więzienia. Tam ukazał mu się Jezus. Zabranym przez Żydów kielich zwrócił mu z poleceniem, aby Józef został strażnikiem kielicha. Tyle Robert de Boron. Wątpliwości budzi fakt, że kościół nie związał z Graalem tradycji, otoczył milczeniem całą sprawę. Graal nie stał się relikwią - po Krzyżu drugą w hierarchii.

Większość badaczy uważa, że - jak wszystko w Wieczerniku - należała do rodziny św. Marka Ewangelisty, który przekazał ją św. Piotrowi. I według tradycji to św. Piotr zabrał ją do Rzymu, gdzie służyła papieżom do sprawowania Eucharystii. Niewyjaśniona pozostaje zagadka, dlaczego kościół katolicki odrzucił legendę, jaka mogła stać się legendą najbardziej wartościową, bo związana z najważniejszym wydarzeniem - Ostatnią Wieczerzą.

Czym właściwie jest Święty Graal? Sceptycy twierdzą, że to tylko mit. Innych ponosi wyobraźnia i wtedy się okazuje, że Święty Graal może być dosłownie wszystkim - od Catusu Turyńskiego po Marię Magdalenę. Tymczasem w tradycji chrześcijańskiej Święty Graal to zawsze kielich - kielich, w którym Jezus podczas Ostatniej Wieczerzy przemienił wino w swoją krew.

Co się stało z bezcenną relikwią.? Większość badaczy uważa, że - jak wszystko w Wieczerniku - należała do rodziny św. Marka Ewangelisty, który przekazał ją św. Piotrowi. I według tradycji to św. Piotr za-

brał ją do Rzymu, gdzie służyła papieżom do sprawowania Eucharystii. Nie przypadkiem w kanonie rzymskim mszy świętej, ustalonym na podstawie najstarszych tekstów liturgicznych, podczas Przeistoczenia kapłan mówi: „(...) wziął ten przestawny kielich w swoje święte i czcigodne ręce (...)”. „TEN PRZESŁAWNY KIELICH”, a nie po prostu: „kielich”.

Jeszcze w starożytności Święty Kielich zaginął. I chociaż od wczesnego średniowiecza coraz szersze kręgi zataczała pogłoska o ukryciu relikwii gdzieś w Hiszpanii, w Pirenejach, to jednak brakowało twardych dowodów, a ta niepewność stała się źródłem niezliczonych legend. Sprawia także, że kiedy po latach relikwia została wystawiona do publicznej adoracji w katedrze w Walencji mało kto już dawał wiarę, że to prawdziwy kielich z Ostatniej Wieczery.

Patrzą, a nie widzą. Epoka niewiary zbiera swoje żniwo. W ciągu minionych dwóch tysięcy lat Święty Graal często musiał być ukrywany. Próbowali go znaleźć i zniszczyć Rzymianie, Maurowie, żołnierze Napoleona, hiszpańscy komuniści... Za każdym razem poświęcenie „strażników Graala” ratowało bezcenną relikwię dla potomności. Później jednak stało się coś dziwnego. Kiedy po zakończeniu hiszpańskiej wojny domowej Święty Kielich znów spoczął bezpiecznie w walenckiej katedrze, chrześcijanie o nim jakby zapomnieli. Nie rozumiem, jak to się stało, że obiekt, jaki mógł stać się najświętszą relikwią, tak został zdegradowany. Zbyt mało mam wiedzy, by wtrącić swoje trzy grosze.

Przez wiele lat legenda o Świętym Graalu pojawiała się w moim życiu. Stała się jednym ze składników mojego życiowego bagażu intelektualnego. Czy zaczęło się to jeszcze w gimnazjum? Z całą pewnością nie potrafię na to pytanie odpowiedzieć twierdząco. Z pewnością początek bierze się stąd, że pani od francuskiego (Francuzica, jak ją nazywaliśmy, która studiowała na wielu uniwersytetach świata, żadnego nie ukończywszy) szczegółowo omawiała na lekcji Pieśń o Rolandzie. Tak szczegóło-

wo, że na całe późniejsze dorosłe życie pozostał mi w pamięci fragment o śmieci bohatera. Średniowieczny epos o Rolandzie mam na półce do dziś, a o Rolandzie i jego Durandalu pozostała mi pamięć na całe życie.

Legenda Kresów

Na legendę Kresów składa się w głównej mierze legenda Lwowa i Wilna. Bo były to dwa największe ośrodki na całych Kresach: Wilno - ok.125 tys. mieszkańców, Lwów - dwukrotnie więcej. Wojewódzki Nowogródek miał 6 tys., pozostałe niewiele ponad 10 tys. mieszkańców. Po drugie: na całym obszarze Kresów oba miasta były jedynymi ośrodkami kultury zawodowej i akademickiej. Od Wilna po Lwów na tej przestrzeni nie było ani jednej uczelni, ani jednego teatru, ani jednej biblioteki, ani jednej gazety. Dwa kuratoria, lwowskie i wileńskie, nadzorowały całą kresową oświatę, a przecież na Kresach było sześć województw. Były dwie rozgłośnie radiowe: w Wilnie i Lwowie, a lwowska miała bardzo bogaty program, do dziś pamiętany. I wreszcie ludność. Wśród dwunastu milionów mieszkańców aż dziewięć stanowiła tzw. mniejszość, Ukraińcy, Białorusini i Żydzi. Wielu autorów o tym pisało. W Polsce powojennej pozostała, przywieziona z Kresów tylko ludność polska. Ponad dwa miliony mieszkańców Kresów, głównie z miast miasteczek z siedmioklasowym wykształceniem, przywiozło swoje wspomnienia dzieciństwa, młodości i dojrzałego życia, życiowego dorobku pozostawionego i nieodżałowanego. Tęsknotę do swojej ojczyzny. Tak powstała legenda Kresów. Członkowie akademickich elit opiniotwórczych Lwowa i Wilna od razu przyjęli zaofiarowane im, dobre miejsce we Wrocławiu (ośrodek lwowski) i Toruniu (Wilno), także przecież wzbogacając legendę Kresów.

Ta właśnie legenda Kresów, opisana w wielu dziełach różnych autorów a związana z moim dzieciństwem, stała się na długie lata moim losem - moją fascynacją. Kresy nowogródzkie nadal są moją fascynacją, chociaż znaczna część życia, właściwie całe dorosłe życie przebiegło w nowej okolicy Europy, od 1945 roku zwanej Polską.

Znad Szczary nad Słupię Repatrianci

Nazwano nas repatriantami, chociaż nijakiej repatriacji tu nie było. Nazwa repatriant nie oddawała bowiem istoty rzeczy. Przesiedlenie wielkiej rzeszy ludności polskiej na tzw. ziemie Odzyskane nie było powrotem do Ojczyzny, jak twierdziła propaganda okresu PRL. O ile bowiem powrót z głębi Związku Sowieckiego ludności tam przymusowo wywiezionej można uznać za akt repatriacji (choć nie był to powrót na ziemię rodzinne), to przesiedlenie ludności kresowej w latach 1945-1947 na tereny wcielone do Polski w roku 1945 nie może być uznane za repatriację. *Repatriacja, a więc powrót do ojczyzny - ale jaki powrót? Przecież byli u siebie. To raczej rozpaczliwa pogoń za ojczyzną, która od nich uciekała, porzuciła ich. Czy można nazwać „powrotem” przyjazd na ziemię, których nigdy nie znali, które były im obce? Na kanwie dyskusji o patriotyzmie, jej uczestnik wspomina w liście do mnie: Do Polski w nowych granicach, przyjechał wraz z nami tylko stary, ogromny, syberyjski kufer mej babci, ale i tego już nie ma.* (Witold Kromplewski z Bydgoszczy).

Po prostu, wyrzucono nas z naszej przastarej ojczyzny i przerzucono do nowych ziem, które nie były naszą ojczyzną. Pierwotny fałsz historyczny spowodował kolejne fałsze jawnie propagandowe. Hasłami tymi trzeba było zagłuszyć uczynione wtedy krzywdy czystek etnicznych, których początku można upatrywać w propozycji tzw. linii Curzona wytyczonej na podstawie angielskich badań etnicznych. Rezultat wojny polsko-bolszewickiej r. 1920 Michał Tu-chaczewski ocenił stowami: "Armia Czerwona poniosła klęskę, Armia Czerwona Polsce tego nigdy nie zapomni". Nie zapomniała.

Wypędzeni

Kilkadziesiąt lat przeżytych z dala od ojczystych stron, kilkadziesiąt lat dorostłego życia na nowych

ziemiach, kilkadziesiąt lat życia dzieci i wnuków urodzonych już na nowych ziemiach, ponad kilkadziesiąt lat czasu, który wedle przystawia leczy rany, pozwalają na zadumę nad losem innych, których też przesiedlono. Oni też musieli pozostawić dorobek całego swojego życia, poprzednich pokoleń. Jak my Ojczyznę, oni Heimat. Pisał poeta: są w ojczyźnie rachunki krzywd. Obca dłoń też ich nie wyrówna. Myślę, że pisał nie tylko o nas, Polakach. O nich, Niemcach też.

Stał kiedyś koło domu starszy pan. Bez ręki, oparł się o odrzwia, spoglądał na uporządkowany teren, kwiaty w oknach. Zapytałem, czy nie zastabł. Odezwał się po niemiecku. On patrzył na dom, gdzie się urodził. Rękę stracił pod Stalingradem, wiele lat w sowieckim łagrze pokutował za winy polityków, może też swoje. Zaproszony, podziękował, nie wszedł. Było mi go żal. Ale na tę refleksję trzeba był tych kilkadziesiąt lat, jakie upłynęły od tamtego harcarskiego udziału w wypędzeniach. Moja rodaczka (rocznik 1916) nie zdecydowała się odwiedzić rodzinnego kresowego miasta. W liście do mnie tak pisała 17 czerwca 1991 roku, gdy organizowałem wyjazd w rodzinne strony. Moje i Jej strony.

Kraków - moja miłość

Był rok 1938, kiedy pierwszy raz usłyszałem hejnał z wieży kościoła mariackiego. Chyba też wesotego krakowiaczka jako sygnał stacji. Wtedy rodzice kupili radiodiodniornik marki Czempion. Wileńskiej fabryki. Miałem dziewięć lat i tylko mnie wolno było włączyć radio, by w południe

*Jakiś gęheny! Przykro mi, że zrobił
zawód - zrezygnowałam z odwiedzin siostru
Na zmianę decyzji upłynęło moje psychiczne
samopoczucie. Fakt, że mam być w siostru
miasteczku mojej młodości, mego ciepła
rodzinnego brando mnie wzruszył. Ciepło
wspomnienia wrobu. I tego się obawiam
udziarny. Postanowiłam wniosku, że
absolutnie muszę zrezygnować z odwiedzi
siostru. Na zmianę mojej decyzji*

wystuchać melodii z Krakowa. Każdego dnia po powrocie ze szkoły wpatrywałem się w świecące okienko radia, by na nim zobaczyć Warszawę i usłyszeć tę melodię. Mogłem wyczytać obok Warszawy nazwę Hilversum. W radiu obok Warszawy, ale do dziś nie wiem, gdzie ...

Potem trafiła się piękna opowieść Ksawerego Pruszyńskiego o trębaczach z Samarkandy i żart ulubionego Janusza Weissa. Jego słuchacz żalił się, że nie mógł w hotelu spać, bo co godzina ktoś grał na trąbie. Nie byłem w Hilversum, nie byłem w Samarkandzie, ale w Krakowie byłem. Kilka razy. Do końca życia zapamiętałem krakowskie „ejze, ejze” i śmieszny tramwaj, z jazdą „na cycku”, gdy w środku miejsca nie było.

Po powstaniu warszawskim znalazłem się w Krakowie i trafiłem do przytułku zakonnic przy ulicy Podbrzezie. Do dnia Wyzwolenia w tym przytułku przebywałem z matką i bratem. Ponieważ był to jeszcze czas wojny, na Rynku odbywały się parady niemieckich oddziałów, czemu nieraz się przyglądałem.

Sam dzień wyzwolenia dobrze pamiętam. Na ulicy prowadzącej do Rynku pełno było szkła z rozbitych szyb, na rynku stał samochód z żołnierzami w polskich mundurach. Do dziś jestem ciekaw, co to była za grupa?

Krakowianie zrobili na mnie wrażenie przestraszonych. Dla 15 letniego chłopca obytego z watkami na Starym Mieście kilka wybuchów – chyba na Grodzkiej? - nie stanowiło powodu do strachu. Ulice były puste. Udałem się do zaprzyjaźnionego ministranta, Tolka Augustyńskiego, Mikołajska 13. Tam też prawie przerażenie. Pani Augustyńska powitała mnie w pokoju zastąpionym, przestraszona. Tolek wyszedł jakby schowany. Po poczęstunku wróciłem na Podbrzezie. Potem chciałem dostać się na drugą stronę Wisły, do innego ministranta, ale most był wysadzony.

Ogłoszono zapisy do gimnazjum. Zaraz się zapisałem. W czasie okupacji uczyłem się na tzw. kompletach w Warszawie. Zdaje się, że było to gimnazjum im. Nowodworskiego. Nie zabawiłem tam długo, bo po kilku dniach matka zabrała nas, by wró-

cić do Warszawy.

Dowiedziawszy się, że w czasie okupacji byłem w Warszawie ministrantem, zakonnic skierowały mnie do oo.dominikanów, bo podczas okupacji i na Starym Mieście byłem ministrantem w czasie powstania. Jeden z Ojców prowadził mały teatrzyk, do którego mnie zapisał.

Pamiętam, że na Boże Narodzenie wystawialiśmy Dziady pod opieką jednego z Ojców. Ja wygłaszałem stynną opowieść Sobolewskiego.

Kilka razy po wojnie bywałem w Krakowie, zawsze przejazdem. Nie było więc okazji, by zwiedzić ulicę Podbrzezie, ani zajrzeć do zakonników, z którymi wiele dobrego pozostało w pamięci. Nie wiem też, jak potoczyły się losy Tolka Augustyńskiego. Kiedyś przeczytałem gdzieś, że na Mikołajskiej 13 była drukarnia, a pan Augustyński był jej dyrektorem i z tej racji zajmował mieszkanie, gdzie jako chłopiec po powstaniu gościłem.

Cmentarze między dawnymi a nowymi czasami

Cmentarze wielu naszych bliskich znajdują się za granicą. Bliską ale nieprzyjazną. Tylko jeden raz w roku, za specjalnym porozumieniem rządów, możemy udać się do miejsc swego urodzenia, pod warunkiem, że jest tam grób naszych przodków. Te miejsca są blisko Żyrowic związanych z Madonną, do której modlili się mieszkańcy Jagodnicy, Witulina, Terebeli, Sworów i innych miejsc, gdzie żyli, chowali się, pasali bydło i się uczyli Autorzy pięknej książki oraz ich dziadowie i pradziadowie.

Matka Boska Żyrowicka. Sporo miejsca w książce Maziejuków zajmuje ta Madonna. Bo Żyrowice, białoruska, prawosławna Częstochowa, niedaleko Terebeli. Do Matki Boskiej Żyrowickiej modlili się parafianie z Terebeli, Witulina i Jagodnicy, dziadowie i wujowie Maziejuków. Może dla wierności tej Madonnie oddawali życie, w najlepszym razie dogorywali na zesłaniu parafianie ze Sworów i Pratulina, Drelowa i Hruda, o których z miłością i czcią piszą ich potomkowie.

Niezwykła to Madonna, cudami słynąca.

Kłaniali się jej polscy królowie, Jej zawdzięcza zwycięstwo Karol Chodkiewicz, na wozie niemocem przywieziony do Żyrowic przed zwycięską wyprawą. Jan Kazimierz był częstym żyrowickim gościem. Jan III Sobieski po wiedeńskim zwycięstwie razem z synem Jakubem przyjechał, by Żyrowickiej Pannie złożyć podziękowanie. Kłaniali się Jej władcy, kłaniał się prosty lud.

Ja i moi kresowi przyjaciele możemy tylko wspominać. Bo gdzie w dalekim Tajsze, na równie dalekiej rosyjskiej północy, odnaleźć miejsce pochówku mego dalekiego krewnego, księdza Adama Stankiewicza, wileńskiego unicy, założyciela Białoruskiej Socjaldemokracji, wygananego z Wilna przez arcybiskupa Jałbrzykowskiego na wniosek wojewody, potem aresztowanego przez Niemców, potem aresztowanego przez Sowietów i zesłanego do łagru w Tajsze, gdzie zmarł z głodu i braku wody? Łagrowy dozorca zwłoki toporem porąbał, był za obozowy płot wyrzucić na żer syberyjskiej zwierzynie.

Kiedy raz na kilka lat mogę odwiedzić groby moich dziadków na cmentarzu wiejskim niedaleko Żyrowic, tamtejszym zwyczajem wypijam kieliszek wódki, drugi stawiam na grobie, resztę wokół rozlewam. Mickiewiczowskie dziady znam z własnego, życiowego nie literackiego doświadczenia.

Dla dzisiejszej Terebeli Maziejuków unicy podlasy to już historia z ocalałego cmentarza. Dla niedalekich Żyrowic żywa terażniejszość. Dziś też tłumy w żyrowickiej świątyni ojców bazylianów ustawiają się w kolejce, by w końcu nabożeństwa ucałować ten maleńki obrazek opuszczany z wysokiego kraja ikonostasu na pasie tkanym z białoruskiego lnu. Gdy Maziejukowie piszą o kulcie madonny z Żyrowic, tych moich Żyrowic, to nie można sobie wyobrazić tego kultu bez prastarego rusińskiego obyczaju do dziś pielęgnowanego. Kiedy przed paru laty niemądra białoruska władza zdecydowała ten kult zignorować i zniszczyć i Dziady wykreślić z kalendarza świąt, to opór był tak silny przeciw tej decyzji, że została cofnięta.

Gdy zrzędzeniem losu i trzech starszych panów, którzy się w Jatcie spotkali, znaleź-

liśmy się przed laty na obcej ziemi, niestety, nie mogliśmy ze sobą zabrać cmentarza. Ale teraz, kiedy legniemy w tej obcej ziemi, nasze dzieci i wnuki będą żyć już na ziemi swojej, bo będą żyć tu, gdzie my zmieniliśmy miejsce pobytu ze stałego na wieczny.

Ze wszystkich dóbr doczesnego świata właśnie nagrobek, krzyż cmentarny, kwiat albo kieliszek wódki postawiony na nagrobku w Dzień Zaduszny lub Dziady, czy tylko zachowane w pamięci ludzkiej miejsce po unicestwionym cmentarzu, stanowią spoiwo między dawnymi a nowymi czasami.

Nad starą fotografią

Na starej fotografii, pamiątce z pierwszej komunii stoję obok księdza przy dębim do dziś rosnącym. Na odwrocie dedykacja „kochanej cici” i data. 1938 rok. Fotografia wróciła do mnie po wojnie, po latach tułaczki po Związku Radzieckim, gdy oboje znaleźliśmy się na obcej ziemi jako repatrianci. Ma anegdotę. Wnuk skomentował ową dedykację. Mamuś, masz do mnie pretensję, że brzydko piszę. Zobacz jak pisał dziadek.

Fotografia, jak wiele innych wtedy wykonana przy okazji, na dziedzińcu kościoła świętego Andrzeja przywodzi jego losy. Kościół z połowy szesnastego wieku w latach czterdziestych wieku dwudziestego zamieniony został na magazyn soli. W latach powojennych za sprawą księdza, Litwina z pochodzenia, wrócił do świetności.

Niewielu w białoruskim dziś mieście pozostało Polaków. Odbudowali parafię ci, którzy tam trwają. Im służą dwa kościoły. Dawny tzw. Panieński, czyli klasztorny zakonu sióstr niepokalanek i parafialny, świętego Andrzeja. Oba bardzo stare.

Zadeklarowani ateści, wychowani w bezbożnej kulturze Białorusini, tworzą nowe społeczeństwo, w którym kościół jest nieobecny. Wraca co najwyżej cerkiew, która zdobywa coraz większe znaczenie. I oto białoruski poeta, urodzony i wychowany jako nowy człowiek sowiecki, uznał kościół św. Andrzeja za warty jego pióra i myśli. Do źródła świętego przystąpię, gdy zboląta dusza choruje, pisat Siarhiej

Czyhryn, stonimski poeta w zbiorze Szczyraka Szczara. Jakże bliskie są mi te słowa, kiedy wspomnę, że w latach okupacji recytowałem jako ministrant po łacinie - także w kościele św. Andrzeja - Introibo ad altare Dei- przystąpię do Bożego ołtarza- na początku liturgii mszalnej.

Kościół świętego Andrzeja w Stonimie

КАСЦЁЛ СЬВЯТОГА АНДРЭЯ У СЛОНІМЕ

Да крыніцы святой прыпаду,
Бо душа моцна смагай хварэе.
Па слядах Льва Сапегі пайду
Да касцёла святога Андрэя.

І ступлю на цвінтар распісны,
Што, як сонца, з гадамі старэе.
Знікне чорны куфэрак маны
Ля касцёла святога Андрэя.

Знікнуць боль і адчай, і трывога,
І душа, як вясна, развіднее...
Папрашу я свабоды у Бога
У касцёле святога Андрэя.

*Przyłgnę do źródła świętego,
Bo dusza zbolata.
Śladami Lwa Sapiehy
Trafię do kościoła świętego Andrzeja.*

*Zniknie ból, cierpienie i trwoga,
A dusza jak wiosna rozjaśnieje...
I w spokoju przystąpię do Boga
W kościele świętego Andrzeja.
(Tłum. moje)*

Tania

Kilka lat trwała nasza korespondencja z piękną młodą Rosjanką z Petersburga. Oto początek tej komputerowej przyjaźni:

большое спасибо за письмо по адресу знакомства. конечно, можем переписываться,кали ласка, по русски. но, я думаю, я для вашей цели

неспособен. мой внук возраста вас. всего хорошего .зс

Witaj, Zdzisławie.

Wielkie dzięki za list na adres „znajomi”. Oczywiście, możemy korespondować, ale ja myślę, że dla Ciebie nie jestem odpowiednim partnerem, bo mój wnuk jest w twoim wieku. Wszystkiego dobrego zs.

Привет Zdzislaw.

Я очень рада что ты ответил на моё сообщение на сайте interia.pl. Для меня это первый опыт знакомств в интернете, надеюсь что он будет удачным. В моём первом письме к тебе я бы хотела рассказать, как можно больше о себе.

Так вот, меня зовут Tatyana. Я родилась и живу в городе Санкт-Петербург, который находится в Ленинградской области. Думаю, что это можно легко найти в интернете. Совсем недавно, 2 августа, мне исполнилось 33 года.

Jestem bardzo zadowolona, że odpowiedziałeś na moje zgłoszenie na stronie Interia pl. Dla mnie jest to pierwsze doświadczenie w kontakcie w Internecie. Mam nadzieję, że będzie udane.

W pierwszym moim liście do ciebie zamierzam jak najwięcej powiedzieć o sobie.

Mam na imię Tatiana, urodziłam się w Sankt-Petersburgu, tu mieszkam... Niedawno, bo 2 sierpnia skończyłam 33 lata.

Nie podaję więcej szczegółów, by nie stworzyć możliwości identyfikacji. Kilka lat minęło od czasu zakończenia tej korespondencji. Kontakt zakończyłem niespodziewanie. Ciężka cukrzyca złożyla mnie w kilku szpitalach, cierpienie wykluczyło jakiegokolwiek życiowe doświadczenia. Nie znam losu tej pięknej Rosjanki. Mam nadzieję, że zachowała o mnie dobre wspomnienie.

Rozdział czwarty

Mój stres, mój los

Starzą nie lata, ale tarapata (przystowie)

Myślą przewodnią tego tekstu jest nieuchronność Losu. Wobec niego człowiek staje się bezbronny, bezsilny i bezwolny, gdy go dopadnie wydarzeniem nagłym i niespodziewanym. Wtedy pojawia się stres. Wydaje się, że nie do pokonania podobnie jak ból, o którym czasem mówi się, że jest nie do przeżycia.

Stres nie jest zjawiskiem niespodziewanym i nagłym, bo wedle wielu znawców tematu, zwłaszcza psychiatrów, jest zjawiskiem permanentnym, towarzyszącym całemu życiu człowieka. Ale pojawienie się jego objawów jest zjawiskiem w życiu jednostki nagłym i niespodziewanym. To zachęca/wskazuje/proponuje/zaleca/mi zakwalifikować go jako integralny składnik Losu. Z ograniczeniem pozwalającym nad nim zapanować. Stres jako incydent można bowiem pokonać.

Zwalczyć stres

Solidaryzuję się z taką postawą nawołującą do zwalczania stresu, bo dotknięty ciężkim doświadczeniem Losu przeżyłem silny stres (pewnie jeszcze nadal go doświadczam) i wiem, co to znaczy mu się nie dać, czyli zwalczać jego atak. Przyznaję się też do głębokiego dołka psychicznego, do jakiego wpadłem w wyniku dotkliwego cierpienia.

Gdy świat się wali

Nie czas o szczęściu marzyć w sytuacjach życiowych, w których wszystko, co było dotychczas, zawaliło się. Zdaje ci się, że całe życie do tej pory było jedną wielką biedą, pomyłką, a teraz to już klęska. Dlaczego mnie to spotkało? Tylu ludzi żyje szczę-

śliwie, a ja musiałem czegoś takiego się doczekać. Owszem, były potknięcia, były kłopoty, ale żeby coś takiego! Kryzys gotowy. Z pewnością, dotknął tylko ciebie. Nikt inny na świecie tego nie przeżył, co ty. Bo to jest tylko twoje nieszczęście. Ejże! Książki już napisali o takich jak ty. Mała to pociecha, ale poczytaj choć trochę.

Moje cierpienie moim losem

Nie da się uniknąć cierpienia, gdy jego przyczyna sprawczą jest los.

Stres to mój los

Teoretycy osobowości przypisują wielką wagę do kryzysów, jakie przeżywa każdy człowiek w zetknięciu się z kompleksem nowych sytuacji życiowych, związanych z nieprzewidywanymi wypadkami, jak na przykład nagła choroba, śmierć bliskiej osoby, usunięcie z pracy, zdrada małżeńska. Ta ostatnia uznawana jest za szczególnie dotkliwą, inne wymienione mają wyjaśnienia łagodzące przeżywany ból, prawie zakłęcia (wiadomo choroby się zdarzają, nieszczęścia chodzą po ludziach, śmierć nie wybiera, szef to drań spod ciemnej gwiazdy albo idiota). Reakcje na kryzys bywają jednak różne. Ojciec upijając się przestaje, albo wpada w alkoholizm, człowiek przywiązany do Kościoła nabiera trwałej niechęci do niego albo ateista staje się fanatycznym wyznawcą. Na pewno kryzys jest zachwianiem równowagi psychicznej.

Przejście na emeryturę przeżyłem dotkliwie. Oto jak opisałem ten czas.

To już na emeryturze. Nagła, choć z dawna oczekiwana zmiana ról. Radość, że nie ma potrzeby poddawać się codziennemu rygorowi i rytuałowi pracy. Jeszcze próby pod-

trzymywania kontaktu z niedawnym miejscem pracy, ale tam jestem już niepotrzebny. Mają swoje sprawy. Pożegnanie było czułe i obiecujące. Będziesz potrzebny ze swoim doświadczeniem, z pewnością nieraz nam się przydasz.

Teraz wiem, że na drugi dzień po rozpoczęciu zastużonego wycieczki już jestem niepotrzebny, przepraszam, stary, szef mnie wzywa, panie kolego, może trochę później bo muszę zrobić zapotrzebowanie. Jeden raz w roku zaproszą na spotkanie naszych kochanych, szanownych emerytów, niektórym co bardziej potrzebującym pomocy, zakupią jakiś podarek, kawa, ciasteczka, może toast. Może przyjdzie na spotkanie jakiś kierownik, najczęściej socjalna. To wszystko. A potem myśl: czego chcesz? Pieniądze ci przysyłają regularnie, raz w miesiącu, niczego nie żądając, nawet nie życzą sobie, byś cokolwiek robił. Komfortowa sytuacja życiowa.

Tak przez najbliższe lata? Aż do końca dni? Nie od razu przyszła odpowiedź. Trzeba się z tego dotka wygrzebać, skoro jest w nim niewygodnie, trzeba znaleźć inną piaszkownicę.

Minąć musi czas, abyś odzyskał równowagę psychiczną. Tym bardziej, że życie wymusza różne twoje zachowania, nie licząc się z humorami. Może już niedługo przyznasz mi rację.

Jak wyjść z dotka?

Żeby to wiedział?! Ile razy w życiu poczułbym się szczęśliwy! Bo tak już jest, że w dotki się wpada, czy się chce, czy nie chce. Ułożysz sobie scenariusz na szczęśliwe życie i założysz w nim, że osiągniesz wymarzony cel. Będziesz już tego celu niedaleko. Albo drogowskaz pomylisz, albo ktoś uszyje ci buty i cały scenariusz diabli wzięli. Świat się zawalił, to już nie dotek, to przepastna jama. Czujesz się jak pies w studni. Oto co wyczytałem w różnych poradnikach na temat „jak wyjść z dotka”.

Zafunduj sobie dzień w kolorze śliwkowym.

Fotel na balkonie stoi już pusty. Zimno, wilgoć dokoła, nie da się już w nim usiąść, nawet ze szklaneczką w rękę. Fotel przed

telewizorem kusi. W piwnicy stoją stoiki z przetworami, woreczek z suszonymi jabłkami i gruszkami czeka, żeby jego zawartością w zimwe wieczory zastąpić czipsy i gumy podczas oglądania jatowych seriali. W kącie stoi gąsiorek z resztkami owoców i śmieszna rurka, co chwila bulgocze zapowiadając smakowity napój.

Kresowe drogi

O czym tu pomyśleć w tym dniu w kolorze śliwkowym? Gdy za oknem coraz ciemniej, a w tej zapadającej ciemności mało zaludniona osiedlowa ulica zamienia się w większą drogę.

Napisano o niej tysiące pieśni we wszystkich językach świata. Nie ma chyba poety, który by o drodze nie pisał. Cóż jeszcze można dodać, gdy na pamięć ciśnie się tekst wojennej piosenki: ech, ta droga, tonie we mgłach, w koto chłód i trwoga...

Oto polna droga na Kresach, może Mazowszu lub Kaszubach. Piach, rozjeżdżone koleiny, samotna wierzba czy grusza. A ja widzę jesienne błoto, ciężkie wozy z trudem wyciągane z tego błota i podpierane, by koń zdołał je pociągnąć. Pomagają mu żołnierze francuscy, włocsy lub polscy spod znaku Napoleona. A na wozie markietanka obdziela swymi wdziękami ich kolegę. Pchają ten wóz, bo i na nich przyjdzie kolej, a kolega z wozu ten trud wyciągania wozu i swoich butów z poleskiego błota wkrótce podejmie.

Oto idą do kościoła do sąsiedniej wsi - bagatela, 16 kilometrów - równym rzędem z butami na kijach polscy szlachcice spod Nieświeża czy Zdobunowa. Polacy, pieśni zawodzą, a mowa ich jakaś ni to polska ni rosyjska - tutejsza.

***W ciemnym lesie ciecierug bałgocze,
A moje serca do ciabie klekocze.
Skaży Hanula ty mnie,
Ci lubisz ty mnie czy nie.***

Każda droga, nawet najmniejsza jest wspólnym dziełem ludzi. Deptali ją od czasu, kiedy ujrzeni innego człowieka i zapragnęli siebie zobaczyć. Może to od Adama i Ewy wziął się początek i tradycja depta-

nia drogi. Może szli po bezdrożach Raju, skracali odległość aż drogę do siebie wydeptali? Bo droga powstaje tam, gdzie są ludzie, powstaje by ułatwić spotkanie, poznanie i zbliżenie. Tam gdzie jest droga, jest ludzka wspólnota, tam gdzie tworzyła się wspólnota, powstawała droga.

Moja droga była jednak inna niż ta, którą buduje pokolenie mego wnuka. Moja droga pachniała ziołami, zatykała kurzem to oblepiała błotem. Jego droga jest równa

i prosta i wiedzie szybciej i łatwiej. Moja droga wiodła wśród puszczy dającej schronienie przed strasznym, jego droga prowadzi otwartą przestrzenią.

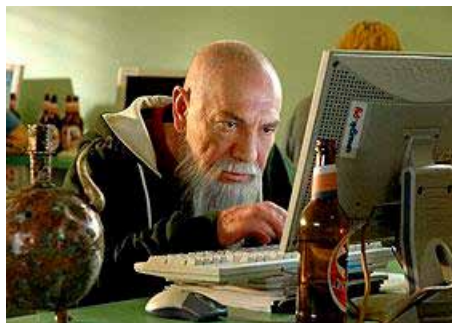
Każdy ma taką swoją drogę, na której są wspomnienia i dobre i złe. Ja cieszę się że dzisiejsze drogi prowadzą wśród jasnych przestrzeni, jedne w dół, inne w górę, jeszcze inne do nikąd. Ta moja choć kręta, prowadzi do gwiazd. No, to po kusztyczku w kolorze śliwkowym...

Różności

O duchach

*W wieczornym mroku, we mgle szarej
idzie przez łąki i moczary,*

.....
*Hen, na cmentarzu ciemnym staże,
na grób dziewczyny młodej siada,
w świat się od grobu patrzy błada...*
(Kazimierz Przerwa Tetmajer)



Towarzyszą nam w życiu jako niespodziewane zjawy w najrozmaitszych sytuacjach życiowych, zwłaszcza gdy znajdujemy się w stanie znacznego pobudzenia emocjonalnego pod wpływem stresu.

W moim dzieciństwie i diabły i duchy miały ważne znaczenie. O diablach słyszałem w kościele, gdy przygotowywałem się do przystąpienia do sakramentu pierwszej Komunii Świętej. O duchach od białoruskich nianiek. Przeważnie łączonych z cmentarzami i postaciami zmarłych.

Najczęstszym motywem myśli o duchach są postacie osób bliskich, już nieżyjące, jakoby pojawiające się na jawie. Zwykle pojawiają się w marzeniach sennych, by po upływie czasu pojawić się w pamięci. Zdarzało mi się usłyszeć opowieść, że komuś śniła się matka dająca dobre rady, przestrzegająca przed wydarzeniami mającymi nastąpić lub przypominająca zdarzenia z przeszłości.

Przybierają różne postaci, co zależy od wzorca kulturowego. Dobre duchy są przeważnie niewielkie, złe mogą mieć postać

olbrzymów. Przykładem dobrych duchów opiekuńczych są krasnoludki z baśni Disneya, złe duchy to Trolle - pierwotnie olbrzymy, potem karty. W kulturze anglosaskiej duchy są byłymi mieszkańcami starych domów i okolic, które po śmierci odwiedzają. Te opowieści niosła ze sobą telewizja, ale i literatura z czasów młodości, Wichrowe Wzgórza mogą służyć dobrym przykładem. Na ilustracji dżin wypuszczony z karafki na ekranie komputera. (kadr z rosyjskiego filmu).

W mojej pamięci zachowały się zastyszane od białoruskich nianiek opowieści o duchach na cmentarzu. Późnym wieczorem lub nocą nie należy kogoś albo przezeń przechodzić. Zapamiętałem także z dzieciństwa, iż ojciec dbał o regularne nakręcanie zegarów, gdyż ich zatrzymanie się oznaczało, że umiera lub umrze ktoś bliski.

Ten wątek cmentarny znany jest w różnych kulturach i ma swoje artystyczne odbicie w twórczości wielu pisarzy i kompozytorów.

W dziewiętnastym wieku modne były tzw. seanse spirytystyczne, których celem było jakoby przywoływanie duchów znanych osób. Najczęstszym bohaterem tych zdarzeń był duch Napoleona. Dzieciństwo moje i moich rówieśników nie było dalekie od mitów i legend dziewiętnastego wieku. Przypomnę, że powstania i idee narodo-wyzwoleńcze były składnikiem naszego dzieciństwa, a ich uczestnicy byli naszymi dziadami. Jeden z głównych bohaterów Lalki Bolesława Prusa jest przecież wielkim entuzjastą Napoleona, że wspomnę o Józefie Piłsudskim. Mój ojciec, żołnierz legionów był zagorzałym napoleonistą.

Jeszcze w liceum po wojnie profesor historii, dr Stefan Przewalski był tak zauroczony Napoleonem, że odpowiedź na każdy temat sprowadzona do wymiaru Bonapartego powodowała pozytywną ocenę, gdy nie umiało się odpowiedzieć na zadane pytanie.

O diablach

Są to zbuntowane anioły, za karę strącone do piekieł. Są różnie nazywane, a synonimami diabła są szatany, demony i in. Wedle św. Łukasza Jezus miał powiedzieć „Widziałem szatana spadającego z nieba jak błyskawica”. Nie jest jednak tematem tego tekstu biblijna opowieść o pochodzeniu diabłów.

W tradycji ludowej diabły przeważnie mają rogi, są kudłate, często pokraczne. Ich nogi mogą być zakończone kozim kopytem. Zostawiają nim niezatarte ślady na gładkich.

W życiu codziennym diabły przywołujemy częściej niż duchy. Zawołanie „idź do diabła” jest tak codzienne, że prawie niezauważalne, gdy je wypowiadamy.

Najczęstszym motywem diabelskiej działalności jest polowanie na dusze ludzkie w taki sposób, aby upatrzona ofiara sama swoją duszę diabłu zapisywała. Umowę taką, zwaną cyrografem, należy podpisać własną krwią na byczej skórze. Najbardziej znane są legendy o Twardowskim. Jest ich wiele. Wedle jednej z wersji miał jakoby podpisać umowę z diabłem, że odda mu, co ma w domu najważniejsze, aby diabeł wybawił go od topieli w moczarach. Nie wiedział, że w tej chwili rodzi mu się syn. Wedle innej wersji Twardowski zawarł na krakowskim Podgórzu pakt, że diabli spełnią każde jego życzenie, a duszę sobie zaborą. Kiedy diabeł unosi Twardowskiego do piekła, ten zaczyna śpiewać nabożne pieśni do Matki Boskiej. Matka Boska ulitowała się nad grzesznikiem, a diabeł porzuca Twardowskiego w połowie drogi. Przestraszony Twardowski chwycił za róg księżycy i tak już tam pozostał.

O ile Twardowski był postacią bajecznej fantazji, to postacią autentyczną był Johann Faust. Żył w latach 1480-1540, studiował w Heidelbergu teologię, w Krakowie magię i czarnoksiężstwo. Prześladowany i tępiący jako herezyk, rozpustnik i oszust, napisał dzieło „Zmuszenie piekła” o magii i wiedzy tajemnej. Jako bezbożnik został



skazany na wieczne potępienie. U Goethego Bóg i Mefistofeles zakładają się o to, czy diabeł doprowadzi duszę staro Fausta do upadku. Bóg obiecuje diabłu, że odda mu duszę starca, gdy ten w uniesieniu radości zawoła chwilo, trwaj! Jesteś taka piękna!

Podobnie jak Faust, postacią autentyczną był Fra Diavolo, Brat Diabeł, czyli Michele Pezza (ur. 7 kwietnia 1771). Fra Diavolo to przydomek włoskiego herszta rozbójników, na usługach polityków

włoskich, francuskich i angielskich, powieszony przez Francuzów w 1806 roku. Jak wielu legendarnych rozbójników tamtych czasów, był rycerski dla dam i opiekuńczy dla ubogich.

Rozbójnikiem sławnym był średniowieczny poeta, François Villon, skazany na śmierć przez powieszenie za zabójstwo. W innym miejscu szerzej o tym średniowiecznym poecie, z którym kojarzy się znane zdanie Ach, gdzie są niegdyś śniegi.

W sztuce diabły są motywem stałym. W przekazach ludowych diabeł jest zawsze oszukiwany przez kogoś sprytnego, o czym świadczy obiegowe powiedzenie, że trzeba dopiero stu diabłów, by stać się sprytnym. Najbardziej mi znanym jest utwór Jana Drdy Igraszki z diabłem, żartobliwą recenzją opery Czart i Kaśka Antonina Dworzaka opublikowałem jako początkujący dziennikarz w roku 1948. Oto ona w pamięciowym skrócie:

Pod różnymi, podobnie brzmiącymi tytułami (np. Diabeł i Kasia), tę komiczną operę wystawiano w Polsce. Chyba po raz pierwszy w Polsce wystawiła ją w latach trzydziestych opera w Poznaniu. Teraz możemy ją obejrzeć we Wrocławiu. Treść opery opiera się na ludowym przekonaniu, że baby diabli nie wezmą, a jeśli nawet to uczynią, to rychło zwrócą. W akcie pierwszym brzydka i gruba Kaśka cierpi, bo nikt jej nie chce. Zatańczyłaby nawet z diabłem. W karczmie huknęło, zadymiło i diabeł Kaśkę zabrał do piekła. Zapłakał parobek Jiri, bo ją kochał. Postanowił Kaśkę diabłu odebrać. Kiedy

w akcie drugim pojawił się w piekle, wśród diabłów zapanowała radość. Bo dziewczyna dała się we znaki wszystkim diabłom, a sam szef, Lucyfer, nie chciał interweniować. Do samej bramy ją odprowadzili, Jirego uznawszy za durnia, bo nie chciał zabrać ze sobą dodatkowo jeszcze innej podobnej, tylko ładniejszej. W akcie trzecim królowa, wielka grzesznica, oboje obdarowała. Schowała się do karczemnego bufetu dla zachowania intymności.

W życiu codziennym nieustannie z nimi obcujemy, o czym świadczą liczne przysłowia, porzekadła i praktyki zabobonne. Można powiedzieć, że z diabłami żyjemy za pan brat. Oto tylko niektóre, wybrane takie teksty:

*bogatemu diabeł dzieci kotysze
Bogu świeczka, a diabłu ogarek
Boi się, jak diabeł święconej wody
Co nagle, to po diable
Diabeł tkwi w szczegółach
Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle*

Diabeł Augusta Necla, kaszubskiego twórcy ludowego, króluje w moim mieszkaniu. Kilka razy uległ wypadkowi, spadając na podłogę, gdy sprzątałem. Nadal panuje nad innymi wytworami artystów, stojąc na honorowym miejscu. Diabelskie skrzypce, to powszechny ludowy instrument, raczej okaz humorystyczny, znany w kulturze niemieckiej. W Polsce u Kaszubów.

O zabobonach lepiej nie pisać, tak wiele ich w życiu znajdziemy. Nie wolno witać się przez próg, zbite lustro przynosi nieszczęście, też czarny kot, wolne miejsce przy stole dla przygodnego wędrowca. Wiele z nich ma nawet bardzo stare, antyczne korzenie, niektóre są bardzo młode. Np. obyczaje cmentarne i pogrzebowe. Strach koło cmentarza przechodzić itp. Moja matka nie zgodziła się przejąć tzw. pustostanu willi poniemieckiej w roku 1945, bo willa ta jest położona w pobliżu cmentarza.

Dzień w kolorze śliwkowym

Pierwszy taki dzień zdarzył się wczesną jesienią. Śliwki jeszcze nie napity się, czego napić się miały. Jeszcze przedwieczorne

ciepło grzało nieźle. Samowar, jeszcze wtedy prawdziwy, dymił sąsiadom zapachem węgla drzewnego.

Smakowaliśmy tych śliwek, coraz smakując, czy ptyn nabiera ich bukietu i wyobrażając sobie jego smak zimą.

Teraz fotel na balkonie stoi już pusty. Zimno, wilgoć dokota, nie da się już w nim usiąść, nawet ze szklaneczką w rękę. Siedzieliśmy więc z przyjacielem w zacisznym ciepłym pokoju, samowar przyniesiony z balkonu promieniował dodatkowym ciepłem, kończył się dzień w kolorze śliwkowym. Smak śliwek zamknąłem w gąsiorku. Jak w starej arabskiej baśni z gąsiorka wyskoczyły wspomnienia z dzieciństwa o Poleszukach spieszących do kościoła, a mowa ich śpiewna, ni to ruska ni białoruska ni polska - tutejsza.

Los przywracał do rzeczywistości. Rozmawialiśmy o tym, jak to naprawilibyśmy świat, gdyby nas do tego czynu dopuszczono. Bo ten, jaki nas otacza, jest bez sensu. Zapewne próbowaliśmy to robić, ale zły Los nam to przerwał. Samowar wygaś, na balkonie było coraz ciemniej i chłodniej, po przyjacielu zadzwoniła żona, oświadczając, że mu na kwaśne jabłko...

Losu świata i najbliższej okolicy nie zmieniliśmy. Udało się nam tylko doświadczyć barwy dnia, czyli koloru śliwkowego.

Jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy, czy to zimą do picia się będzie nadawało. Nadawało, nadawało. Dzisiejszy dzień, od samego rana miał kolor śliwkowy, choć przyjaciel pojawił się późnym popołudniem. Krysztalowa karafka mieniła się wieloma kolorami, ale najpiękniejszy był kolor śliwkowy. Samowar, teraz fatszywy, bo elektryczny, stał na środku stołu, też kolorem śliwkowym trochę się barwił. Na stole obok leżały andruty, pieszczołtowie raz eternitem zwane raz dachówką.

Ale samą rozkosz dawały tematy. Zaczęliśmy od tych bez sensu, na takich samych zakończyliśmy. Część tych bezsensownych naprawiliśmy przez polewanie. Reszta została pod hasłem jakoś to być....

Idziemy spać, reszta niech robi, co chce.

Co zostało z tamtych lat?

Był rok 1950. Mieliśmy wtedy po dwa-dzieścia kilka lat i daleko nam było do sta-

rości. Ale w połowie wieku dwudziestego zadawaliśmy sobie pytanie, czy dożyjemy wieku dwudziestego pierwszego i jak będzie wyglądał początek nowego tysiąclecia. Teraz już obchodzą nas przyszły Los.

Potem był rok 1960 i następne dziesięciolecie. Każde obfitowało we wstrząsy ideowe, każde niosło ze sobą obawy o przyszłość i w każdym powtarzało się to pytanie o początek nowego stulecia. Coraz bardziej zbliżał się czas rozstania z tym najlepszym ze światów, ale zawsze odchodzili inni. My trwamy. Nasz Los jeszcze trwa. Mijał dzień. Mijał tydzień, miesiąc, rok. Ile tych dni, tygodni, lat czeka mnie jeszcze w życiu? Tego nie wiem ja, tego nie wie nikt. Dałby Bóg, żeby nie jeden. Dałby Los.

Skończył się wiek dwudziesty, zaczął dwudziesty pierwszy. Nic się nie wydarzyło. Noc była zwyczajna, jak co roku trochę fajerwerków, „Russkoje igristoje”, bigos i śledzik. Powiedziałbym, że lepsza niż wspomnienie tamtej nocy w ciągu mijającego roku, kiedy miał być koniec świata.

Pozostało tylko wspomnienie tego nieudanego końca świata. Zapowiadali go kilka tygodni, ludzie się przygotowali, z igrystym, bigosem, kielbasą na gorąco. A tu nic. Kłapa i kompromitacja. Takie święństwo ludziom zrobić!

Ale tych kompromitacji było bez liku. Więc i ta noworoczna na nowe tysiąclecie nie stała się niczym nadzwyczajnym, a cała ta zabawa w tysiąclecie przeszła prawie bez sensacji. Los znowu sptał nam figla.

Jestem z pokolenia, dla którego najważniejsze było przeżycie godne czasu powszechnej niegodziwości, zwanego czasem pogardy. W tym przeżyciu, wtedy nawet mało uświadamianym był sens życia. Przeżyć i przetrwać godnie - oto był sens życia. Obudzony o północy gotów jestem zawołać „Quo usque tandem abutere patientia nostra!” Jak długo jeszcze będziesz nadużywać naszej cierpliwości, pokazując swoją złość? Nie wiem. Poczekam. Wiem jednak, bom historyk i filozof, że żaden po nim jurysta nie stał się parlamentarzystą tej klasy. Może żaden nie kierował się zasadą, też z tamtych czasów, że cokolwiek robisz, patrz, co z tego wyniknie! Quidquid agis, respice finem!

Po latach wspominam tamte nauki, bo wedle nich chwalimy dawne czasy, żyjemy w dzisiejszych. To młodzieńcze zauroczenie Starożytnością, głównie jej ideologią i kultem piękna, pozostało do dziś.

Pozostały jednak po Starożytności, coraz mniej cenione, idee, których ludzkość się nigdy nie pozbędzie. Wtedy bowiem zaczęło się poszukiwanie człowieczeństwa w osobnikach bytujących w warunkach nieprzyjaznej przyrody, do których nie byli zupełnie przystosowani. Na czele bowiem królestwa zwierząt znalazł się stwór zwany człowiekiem, najmniej gotowy do trwania w przyrodzie.

Tak powstawały zasady i normy, czyli etyka. A w niej uwielbienie dla szlachetności, godności, honoru i piękna. Zachowanie godności we wszelkich warunkach, honoru gdy się przegrało - oto co nam z tamtych lat pozostało. Pozostało po tamtych latach, bogach, bóstwach i ludziach umiłowanie piękna potążonego ze szlachetnością. Pozostało też umiłowanie szczęśliwego życia i tęsknota do takiego życia, gdy tego już nie staje.

Gdy przed kilkudziesięciu wiekami pytało czy z tarczą, tylko bogowie znali odpowiedź a Pytia płotta trzy po trzy (ciekawie, telewizji wtedy nie było), co nam do dziś pozostało, kiedy obiecują nam, co ma być jutro. A śmiertelnicy? Popijali, zakaszali i cieszyli się życiem.

Czego i Wam dziś życzę.

Postowie. Czego nie żal, czego szkoda

Rok po roku, miesiąc po miesiącu, dzień po dniu, godzina za godziną. Coraz bliżej pożegnania. Póki sił starczy, póki myśl sprawna, usiłuję znaleźć sposób na życie w świecie, który coraz mniej rozumiem. Więc czytam teksty, jakie mogłyby wyjaśnić mi zjawiska życia dla mnie nieznanego dotychczas. A żyć wśród nich trzeba. Pożegnać się też należy z tymi, które nie ostały się naporowi nowego. Czy lepszego, czy gorszego? Innego. W pamięci utrzymuję, pielęgnując je, słowa o kogoś

z filozofów o stosunku do przemijania. Mówił do nas, seniorów, aby nie obrażać się na świat za to, że jest inny niż ten, który przez życie tworzyliśmy. Bo jest inny i na to rady nie ma.

Wielu zjawisk z mojego dzieciństwa i mojej młodości nie żałuję. Dzieciństwo, owszem, było szczęśliwe, to takie poetyckie uogólnienie. Ale było też okrutne. Kiedy słyszę pyszałkowane „my byliśmy lepsi”, myślę, patrząc na tego lepszego: przecież traktowałeś mnie obelżywie, wymyślając od ślepaków i zyzolów, bo nosiłem okulary i mam zeza. Bazgraliśmy po ścianach (ale tu mi ten lepszy przypomina, że najczęściej pisaliśmy „Kaśka to niemiecka k...”), wybijaliśmy szyby grając w podwórkową piłkę.

Ale żał mi niejednego obyczaju, znikającego z życia zbiorowego, a wtedy wyznaczającego zachowanie moje i moich rówieśników. Obyczaj bowiem jest stróżem porządku społecznego bardziej surowym i skutecznym niż jakiegokolwiek prawo.

Szacunek dla chleba. Był świętością. Nie tylko w społeczeństwie. Też prywatnie. Chleb w modlitwie był błaganie o dostatek życia. Kromkę, nieumyślnie wypuszczoną z rąk podczas jedzenia, należało podnieść i ucałować. Okruchy zebrać, wysypać za okno - dla ptaków. Suche okrawki zebrać, zamoczyć, zakwasić do wypicia.

Mieszczkański ład. Każdy miał swoje miejsce. Ojciec zarabiał na utrzymanie rodziny, matka rodzinę utrzymywała. Dzieci miały się uczyć i bawić. Gdy dorastały, szły na swoje. Wiedziały już, co to znaczy szacunek dla innych, szacunek dla pracy, godność i honor. Bo każdy członek społeczności wiedział, co to godność i honor. Hołota to była hołota, łachudra był łachudrą pan był panem. O moim dziadku mówili: „dobry pan był, rubla dał, a jak trzeba to i w mordę”. Potem go w polu widłami zaktuli, dwór spaliwszy.

Ot, co.

Moje porachunki z Losem

Pożegnanie z Losem

Nastał nowy czas. A z nim nowe porządki, także intelektualne. Nastąpiło pożegnanie z Losem jako wytworem myśli ludzkiej. Od urodzenia po zgon człowiek szedł drogą ustaloną przez siły zewnętrzne. Owszem, mógł incydenty korygować, ale scenariusz zwany drogą życiową miał ustalony. Wystarczyło, że siła zewnętrzna, dla jednych Los, dla innych Bóg, nie akceptowała tej zmiany, a życie człowieka podlegało odmianie. Znaczyło to, że życie biegło trasą wyznaczoną przez drogowaskazy. Przez samo urodzenie znalazłem się w ściśle określonym otoczeniu. Był taki czas, a był to czas mojego dzieciństwa, kiedy o pozycji społecznej decydowało urodzenie. Już tylko ze studiów wiem, że dla chłopskiego syna drogą awansu było seminarium duchowne albo nauczycielskie. To spotkanie moją matkę. Chłopskie pochodzenie przesądziło, że tylko ona jedna weszła w środowisko, wtedy zwane półinteligencją. Ciotki- analfabетки mogły wejść tylko przez zamęście do innej klasy. Nie miałem wyboru i wyboru nadal nie mam. Pytanie, czy mogę żyć w innych warunkach pojawiło się dopiero później, gdy już zdolni jesteśmy do samodzielnej egzystencji. Świata odrzucić nie możemy - alternatywy dla niego nie ma.

Nie możemy też odrzucić części rzeczywistości, a inną akceptować. Dopóki żyjemy, świadomie lub nieświadomie, świat akceptujemy i to w całości. Wyrażamy zgodę na świat, taki jaki jest. Innej możliwości nie ma. Od chwili, kiedy zaczęliśmy żyć świadomie, przyjęliśmy dobrowolnie świat, jako spadek, który możemy odrzucić tylko w całości, odrzucając życie. Zresztą, świat się skomplikował. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu świat był niewielki. Kilka wsi dokola, miasteczko, gdzieś „w mordobijskim powiecie”, to był cały świat człowieka przed laty. Cóż znaczy kilkadziesiąt lat. Krzysztof Kolumb nie tam przecie zjechał, dokąd zamierzał. Ja widziałem w dzieciństwie

kobietę, która pierwszy raz jechała pociągiem. Osobą moich dziecięcych marzeń był Pan Bolek. To był konduktor autobusu wyposażony w skórzaną torbę, gdzie znajdowały się i bilety i zebrane pieniądze. Z tym Losem dawno już nastąpiło pożegnanie.

Nie minęło kilkadziesiąt lat, dożyłem tzw. słusznego wieku, a świat budowany przeze mnie dla siebie i innych przestał istnieć. Pojawiło się wezwanie, by ten świat, w którym przyszło mi dożywać swego losu, stał się inny. Tamten, mój przestał istnieć. Do zestawu pojęciowego wkroczył przypadek, który był do tej pory składnikiem definicji Losu. Uległ autonomizacji. Stał się samodzielnym bytem, ale o mocy podobnej Losowi. Bo zamiast tego co „zapisane u góry” i przeznaczone dla każdego z osobna jest dola, rządzona przez przypadek. Wraz z nowym systemem, teraz zwanym postmodernizmem skończyła się dola człowieka określona jako zrządzenie siły zewnętrznej. Można teraz kierować się własnym rozsądkiem. Nakazuje on budować sobie scenariusz, przypadek weń wliczając, z pominięciem Losu. Nowe technologie rozmawiania, nowe technologie myślenia, to próby zerwania z Losem. Wydaje się, że nowoczesny sposób rozliczania wydarzeń wyklucza możliwość działania tajemnych sił zewnętrznych, a współczesne metody poznania wraz narzędziami techniki- już nazwanej ponowoczesnością, dają możliwość przewidywania wydarzeń. Przykładem są tzw. tabele trwania życia (mają rozmaite nazwy i są sporządzane wedle różnych metodologii i metod) najczęściej do stosowania w firmach ubezpieczeniowych. Mogę z dużym prawdopodobieństwem twierdzić, że są wynikiem refleksji nad Losem, modyfikowanej pod wpływem coraz doskonalszych metod badawczych. Układane są według znanych od wieków zależności matematycznych i pełnią funkcje użytkowe. Podobnie użytkowe są przepowiednie pogody. Robione przez znawców tematu z użyciem supernowoczesnej techniki. Ba, przestrzenią między-

gwiezdą zajmują się księża! Znakomity uczony, ksiądz Michał Heller, profesor seminarium duchownego, pisze dzieła znane uczonym całego świata. Zajmuje się dziedziną, z której ja, doktor humanistyki nie rozumiem ani jednego zdania napisanego przez Szanownego Profesora. Kilkadzieści lat temu jego kolegę, francuskiego jezuitę, Teilharda de Chardin zamknięto w klasztorze z zakazem publicznych wystąpień. W podanych przykładach mamy do czynienia z rozumowaniem wykluczającym Los, skrupulatnie omijającym, ale za każdym razem słyszę o nietrafności wyników na skutek działania i istnienia przypadku. Czardziejska Góra? Ale Los pozbawiony jego tajemnej, nieprzewidywalnej tajemniczości odchodzi w niebyt. W tym znaczeniu posłużyłem się pojęciem pożegnania z Losem. Dla człowieka wierzącego w istnienie Boga, może to być też pożegnanie z Bogiem. Pisał ponad dwieście lat temu poeta:

*Za każdym krokiem w tajniki stworzenia
Coraz się dusza ludzka rozprzestrzenia
I większym staje się Bóg.*

Bo od czasu, kiedy Poeta te słowa napisał zmieniły się racje. Zwłaszcza ta o Bogu. Staje się On coraz mniejszy. Kurczy się Jego władanie, chociaż nadal pozostaje. W miarę, jak Człowiek poznaje nowe światy, poszerza horyzonty, poszerza przestrzenie duszy, o czym pisze Poeta. Ja dopisuję myśl, że tym samym zmniejsza się wielkość i potęga Boga. Zgoda, że Los i Bóg nadal pozostają przyczyną sprawczą wydarzeń człowieczego życia. Z Bogiem nie żegna się wierzący, z Losem- ateista. Ja nie pożegnani się z Losem aż do ostatecznego rozwiązania. Bo moje życie, choć składa się z przypadków, to jednak Losem pozostanie. Do końca. Niestety, nieznanego.

To zdarzyło się dwa lata temu. Już mnie na tym bożym świecie nie było, już zapisałem mnie do niebiańskiego chóru, żebym nauczył się śpiewać hosanna. Bronilem się, bo nigdy nie udało mi się wydobyć trzykrotnie „lalala”. Gimnazjalny profesor, Pozorski, co

szkolny chór prowadził, krzyknął kiedyś na mnie: „Ty tylko stój! Jak gębę otworzysz to ci trójki ze śpiewu na maturze nie postawię!” Zdarzyło się kiedyś w kościele, że kobieta obok mnie śmiała się, zamiast się modlić. Kiedy doszło do słów „zanosim błaganie” krzyknęła „błagam, niech pan przestanie śpiewać!”

Kiedy mnie już do tej hosanny tak namawiali, przyszli Oni. Amerykańscy uczni. Przegonili proboszcza, tym w białych rękawiczkach postawili po jednym, a mnie postawili na nogi, kazali chodzić. Szybkim krokiem. Przez 2,5 godziny w najbliższym tygodniu. Mniej więcej 25 minut dziennie. Po tygodniu pożyję jeszcze trzy lata- powiedzieli. Czemu nie? Tylko co na to powie ZUS? Jakoś to będzie- oświadczyli. Powołamy komisję międzynarodową. Zgodziliśmy się. Bo jeszcze niedawno biegałem koto domu tysiąc metrów i za darmo. Przyjaciel nie wierzył. Poszedł pomierzyć, a wrócił oburzony. „ty - jak zawsze - przesadasz. Jest tylko 980 metrów!” Masz babo placek! Łatwo się zgodziłem. Nie było dystansu, nie było szybkości, nie było rywali, nie było wyznaczonego terenu, byle w parku, byle około 25 minut dziennie przez tydzień i tylko od tego drzewa do piętnastej. Trzy lata dodatkowego życia, bez ZUS-u. Dobra nasza!

Nie wytrzymałem. Nie, żeby te 25 minut. Nie, żeby ZUS. Nie żeby od tego drzewa do piętnastej. Zupełnie co innego. Towarzystwo, schab z rumem, piękny samochód i latarnia. Schab jak schab. Ale rum!? Trzeciego roku zabrakło. Latarnia stoi, choć za dużo wypita, towarzystwo ma się dobrze, ZUS jak Zus, trochę gorzej samochód.

A zawsze pytałem, co ja bym zrobił bez tych Amerykanów.

To było kiedyś. Pierwszy taki dzień zdarzył się wczesną jesienią. Śliwki jeszcze nie napiły się, czego napić się miały. Jeszcze przedwieczne ciepło grzało nieźle. Samowar, jeszcze wtedy prawdziwy dymił sąsiadom zapachem węgla drzewnego. Smakowaliśmy tych śliwek, co raz smaku-

jąc, czy płyn nabiera ich bukietu i wyobrażając sobie jego smak zimą.

Rozmawialiśmy o tym, jak to naprawilibyśmy świat, gdyby nas do tego czynu dopuszczono. Bo ten, jaki nas otacza, jest bez sensu. Zapewne próbowaliśmy to robić, ale zły Los nam to przerwał. Samowar wygasł, na balkonie było coraz ciemniej i chłodniej, po przyjaciela zadzwoniła żona, oświadczając, że mu... na kwaśne jabłko. Losu świata i najbliższej okolicy nie zmieniliśmy. Smak śliwek zamknąłem w gąsioruku. Jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy, czy to zimą do picia się będzie nadawało. Nadawało, nadawało. Dzisiejszy dzień, od samego rana miał kolor śliwkowy, choć przyjaciel pojawił się późnym popołudniem. Kryształowa karafka mieniła się wieloma kolorami, Ale najpiękniejszy był kolor śliwkowy.

Samowar, teraz fałszywy, bo elektryczny, stał na środku stołu, też kolorem śliwkowym trochę się barwił. Na stole obok leżały andruty, pieszczotliwie eternitem zwane. Ale samą rozkosz dawały tematy. Zaczęliśmy od tych bez sensu, na takich samych zakończyliśmy. Część tych bezsensownych naprawiliśmy przez polewanie. Reszta została pod hasłem. Idziemy spać, reszta niech robi, co chce.

O pokorze wobec Losu

Nie ma dnia, abym nie natknął się tekst napisany albo wypowiedziany, którego autor z pewnością godną fanatyka oznajmia światu prawdę, jakich tylko on jest włodarzem. Pół biedy, gdy słuchacze lub czytelnicy wiedzą swoje. Gdy w uniwersytetach trzeciego wieku mądrzyłem się na temat szczęścia, pytano mnie, czy jestem szczęśliwy. Zawsze miałem kłopot z odpowiedzią, bo uważam, że stan szczęśliwości czyli określenie siebie jako szczęśliwym jest zbyt mocne. Wolę być zadowolonym, mieć satysfakcję, uzyskać powodzenie albo odnieść sukces. Uznaję, że każde z tych określeń może w konkretnych sytuacjach do mnie pasować, szczęście zaś- to dla mnie zbyt wiele.

Sens życia to jedno z podstawowych zagadnień różnych systemów filozoficznych

i religijnych, jak również pojęcie odwołujące się do transcendentnego widzenia świata jako drogi. Uznaje się, że odpowiedź na pytanie o sens życia zawiera całą mądrość ludzkości.

W wielu społecznościach dyskusja o sensie życia jest tematem tabu, gdyż sens życia wyznaczają w nich normy religijne, ideowe lub kulturowe. Większość ludzi, bardziej lub mniej świadomie, wyznacza sobie **sens życia** indywidualnie; wspomagając się swoimi wierzeniami, przekonaniami, wiedzą i uczuciami.

Niezależnie od wyznawanych wartości sens życia rozumiem głównie jako relację do:

- pełnienia albo rezygnacji z różnych funkcji i ról w życiu rodzinnym i społecznym;
- ostatecznego celu istnienia człowieka jako osoby i sposobów dojścia do niego zgodnie z własnymi przekonaniami;
- podejmowania lub unikania: cierpień, niedogodności, trudności i wyrzeczeń, czernienia satysfakcji i przyjemności.

Gdy te słowa pisałem, dożyłem 83 lat, los obdarzał mnie obficie różnymi sytuacjami: pomyślnymi, niepowodzeniami a nawet życiowymi dramataми. Wszystkie mam za sobą. Żyję spokojnie, nie mam kłopotów materialnych, mam dobrze ułożone stosunki rodzinne. Mimo tzw. godnego wieku trzymam się dobrze, owszem, mam nieco trudności w poruszaniu się, ale nie potrzebuję pomocy w obsłudze codziennej.

Los upomniął się jednak o swoje. Coraz trudniej mi pisać, coraz więcej okazji, by znaleźć powód do zaniechania. Pokora wobec Losu nakazuje mi stale pamiętać, że wszystko jest nietrwałe, że każdy z powodów do zadowolenia może z momentu na moment zaniknąć. Więc gdy się na temat szczęścia publicznie mądrzę, mam przed oczami obrazki ludzi. Losem paskudnie doświadczonych i wiem, że może mnie taka paskuda spotkać.

Ludzie ludziom

Staram się odgradzać swoje życie od tego, co uznaję za niegodziwe. Mimo to, nie jestem w stanie zachować *splendid isolation* wobec otaczającej zewsząd niegodziwości popełnianej w imię prawdy, sprawiedliwości i prawa.

Wiem, że upowszechniane materiały to propaganda partyjna, manipulacja i draństwo. Że wszystko to rozgrywa się wewnątrz jednego środowiska zwanego klasą polityczną, czyli strukturami władzy. Że my, tzw. szarzy obywatele żyjemy swoimi problemami. Że wielu tych szarych, także ja, mówi z lekceważeniem. Ale ta moja wiedza niczemu nie służy. Jest jałowa. Bo nasze głosy mało znaczą, nigdzie nie docierają. Mnie osobście nie jeden raz zlekceważono, usunąłem się. Mam ten swój świat zamknięty w komputerowym dysku. Wiem, że na tym bożym świecie, najlepszym ze światów, jestem jeden z milionów. Wiem, że jestem Ja i reszta. Ja tworzę sobie mój mały świat, zachwycając się jego pięknem dookolnym, obcowaniem z przyrodą i innymi ludźmi. Resztą. Wiem, że jest Reszta, a tam jest ktoś Ja, dla którego Ja też należę do Reszty. Teraz już niedaleko do Pokory.

Ale nie jest mi obojętna niegodziwość, nawet jeśli Losu, wobec czego jestem bezsilny.

Nocna pora. Do bladego świtu, kiedy pogasną uliczne latarnie jeszcze trochę czasu. To czas, jaki minie od początku mojego pisania do jego zakończenia. Czy będzie to koniec tekstu? Bo co chwila komputer nakazuje mi moje pisarskie przemijanie zatrzymać, pokazując błąd do poprawy. To przemijanie zaczęte pierwszą literą tekstu i spodziewanym jego końcem wciąż się zatrzymuje. Mija czas?

Znaczy Witaj

Już myślałem, że Los pozostawi mnie w spokoju, gdy znajdę się w smudze cienia. Zostawiam za sobą wszystko, co było, nie wypominam czego w życiu nie zrobiłem a co zrobić mogłem, co spaskudziłem gdy mogłem zrobić porządnie.

Upomniał się Los o zapomniany bardzo dawny epizod, którego byłem tylko bezwolnym uczestnikiem.

Napisała do mnie Pani z żydowskiego Instytutu Yad Vashem, bo otrzymała wiadomość od jednego Żyda, że ja brałem udział

w ocaleniu po upadku powstania w getcie warszawskim.

A ile było mojego? Miałem 13 lat, gdy Niemcy znieśli z powierzchni ziemi warszawskie getto. Ojciec nie żył, matka, nauczycielka, utrzymywała się z handlu w hali Mirowskiej (ja w tym uczestniczyłem), a mieszkanie w kamienicy stało się punktem przerzutowym Żydów z getta. Też źródłem dochodu. Ja, dziecko, nie miałem przecież nic do gadania, bo tak było od wieków, że dzieci i ryby głosu nie mają.

Żydzi spali w jednym pokoju ze mną. Matka i młodszy brat, już oboje nie żyją, spali w kuchni. Za szafą w kuchni stały, bo tylko tyle miejsca tam było, dwie młode Żydówki. Ja spałem w jednym pokoju z Żydami ocalonymi z pogromu.

Tylko kilkoro zapamiętałem. Kilkadziesiąt następnych zdań będzie o nich. Bo są przykładem przemijania, a jego istotą jawi się to co jest- między tym co nie jest bo było a tym co nie jest bo będzie. Tę horacjańską myśl przywołuję do mojego wspomnienia tych, co byli i nie są.



Matylda na obozie maturzystów

Zuzia. Sięgam czasu okupacji, czasu po zagładzie warszawskiego getta. Cała kamienica, nieopodal muru „nafaszerowana” była Żydami. W naszym mieszkaniu też byli. Zmieniali się co dwa, trzy dni, zawsze spali w pokoju, gdzie ja przebywałem, czasem razem ze mną w jednym łóżku. W dzień chowali się za szafą w kuchni. Musieli milczeć, bo właśnie w kuchni był stół, przy którym bawiliśmy się z kolegami z kamienicy. Graliśmy w karty (tysiąc i stukotka) i popularnego wtedy milionera. Dziś wiem,

że był to kamuflaż, wiem też czym się mógł zakończyć.

U sąsiada, kolejarza komunisty (też się o tym dowiedziałem po wojnie) była dziewczynka, Zuzia, jego kuzynka. Pewnie miała 9, 8 lub 7 lat. Była bardzo ładna. Dziś ją wspominam jako przestraszoną. Nie wolno było nam z nią się bawić. Bogać tam. To była Żydówka.

Ma i Po Tak je zwaliśmy. Dwie piękne eleganckie panie. Dla mnie były kobietami, ale pewnie nie miały jeszcze dwudziestu lat, albo miały niewiele więcej. Dwa tygodnie u nas przebywały, stały za tą szafą. Dostałem od nich złoty zegarek. Dziwny, bo z żydowskimi znakami na cyferblacie. Być może, albo z całą pewnością, jakaś pamiątka rodzinna. Było to wynagrodzenie, pierwszy raz w życiu zarobione, choć nie były to pieniądze. Dostałem go za to, że z kawiarni tylko dla Niemców (Nur fuer Deutsche) zatelefonowałem pod wskazany numer. Co miałem do powiedzenia po niemiecku, nie pamiętam. Wszystko przeminęło. W muzeach starannie przechowywane pozostały tylko resztki. Ja prosiłem w muzeum tylko o pamiątki po tych, o których mogę tylko wspominać.

Jaki był mój udział, 13-latką w dziele ocalenia Żydów z warszawskiego getta? Poza tym, że spali na podłodze w pokoju, w którym ja spałem na łożku. I ten jeden incydent z telefonem w kawiarni „Nur fuer Deutsche”.

Co mielibyśmy sobie do powiedzenia, gdybym dziś mógł spotkać Zuzię, Ma i Po, innych, których nie zapamiętałem, jeśli ten straszny czas przeżyli.

Jaki był mój udział w ich przetrwaniu? Gdy ja sam przetrwałem dzięki zrządzeniu Losu. Co mielibyśmy sobie do powiedzenia? Czyba tylko żydowskie Shalom i polskie Witaj.

Na fotografii ocalała z Auschwitz, po wojnie nauczycielka języka niemieckiego w liceum, Matylda Strassner. Na wspólnym obozie dla maturzystów robiliśmy sobie fotografie. To jedna z nich.

O przemijaniu

Pod koniec życia piszę dla potomnych o Losie. Nie może w tym dziele zabrak-

nąć przemijania. Oto początek roku 1940, mam 10 lat, mieszkam w Warszawie przy ulicy Wielkiej 22, między Bagnem, a Komitetową. Kilka skrzyżowań do Marszałkowskiej, kilka do Żelaznej. Za kilka tygodni zamieszkam pod nowym adresem - Krochmalna 56. Niewiele o tym wiem, ale wciąż są to ulice już oznaczone jako getto. Żydzi jeszcze chodzą swobodnie po ulicach, choć z gwiazdą na rękawach. Moje przemijanie tamtego czasu to ich przemijanie. Dziś nazywają to Shoah, albo Holocaust. Potem Ogrodowa 55 Pod ostatnim adresem będą pojawiać się jako ocaleni z getta, by po jednym, dwóch dniach znikać. Nie wiadomo dokąd. Dziś już wiem.

Znane mi jest poetyckie porzekadło, że człowiek żyje, dopóki żyje inny, kto o nim pamięta. Cmentarze temu przeczą. Bo groby trwają mimo wszystko. Bo nie ma tych wśród żywych, o których żywi pamiętają.

Po Wielkiej, Komitetowej, Bagnie i kilku innych ulicach, nie pozostał ślad. Tylko starzy, dożywający swoich dni potrafią powiedzieć, gdzie to było. Pamięć o nich właśnie świadczy o zjawisku przemijania. Zarówno w wymiarze pojedynczego życia jak i życia całych zbiorowisk i rzeczy.

Mam 10 lat. Mam? To minęło. Na rogu Żelaznej i Krochmalnej, a może Grzybowskiej czy Pańskiej zburzony dom, gdzieś wysoko wisi łożko jeszcze z pościelą. Zraz runie, będzie wiele huk, szum kurzu, ceglany pył. Widzę to. Stoi mi w oczach ten widok. Widziałem to.

Msza w kościele na Długiej, utrata przytomności i trwające do dziś kalectwo. Kiedy mam lat 80 i więcej, widzę ruiny domów tym razem w przekazie telewizyjnym. Podobne spręty wiszące nad rozerwanymi ludzkimi siedzibami. Znam starą myśl *nihil novi sub sole*. A może to nihil novi sub telewizor? Widzę to. Widziałem to. Widziałem straszne wydarzenia. Pozostały w pamięci. Zatrzymało się przemijanie?

Czytam filozofów którzy piszą o przemijaniu. Od biblijnego Koheleta i greckiego Sokratesa do współczesnego hiszpańskiego Fernando Savatera i polskiego Michała Hellera. Piszą, że nie ma czasu minionego, że żyje się tylko teraz. Kosmolog wielkiej światowej stawy,

ks. prof. Michał Heller napisał dzieło właśnie pod tytułem „Zatrzymać przemijanie”. Niewiele z niego rozumiem. Bo dla Niego przemijanie to czas liczony w latach świetnych, ot, przechadzka. Dla mnie przemijanie to czas od początku tego pisania, nieustannie zatrzymywany przez niesprawność w postępowaniu się klawiaturą komputera i coraz słabszym widzeniem, do końca, który będzie zaraz. Nadal brak odpowiedzi na pytanie, czy można zatrzymać przemijanie, czy można żyć tylko teraz, czy życie tylko teraz nie jest życiem także wtedy? Życiem także zaraz. Bo w życiu teraz jest życie wtedy i jest już życie zaraz. Żyję, więc moje teraz jest i wtedy i zaraz.

Ten tekst, jak co roku- podobnie jak poprzedni w sierpniu- publikuję 1 września. Jeśli ktokolwiek go już czytał wcześniej, proszony jest o wybaczenie, że przymuszam. Opiswane w nim wydarzenia były ważne w moim życiu. Taki to dzień, taki czas, Taki Los.

Los jak spadek

Przykładem losu jako wyniku zależności kulturowych jest wychowanie dzieci. Już niemowlęta są ubierane stosownie do płci, chociaż we wczesnym niemowlęctwie nie ma to żadnego znaczenia. Trzeba zauważyć, że nawet wózki bywają inne dla chłopców niż dla dziewczynek. To rodzice, kierując się wzorcami kulturowymi, wyznaczają im los.

Cóż dopiero mówić o przynależności do określonej grupy etnicznej, społecznej czy zawodowej. Jak się urodziłeś Murzynem, Murzynem umrzesz, gdy cię ochrzczono w cerkwi, prawosławnym będziesz, w rodzinie lekarzy często lekarzem się zostaje. Gdy się urodziłeś jako mężczyzna, to stałeś się dziwakiem płec zmieniając. Można przykłady mnożyć, ale losu się nie uniknie.

Tu miejsce na myśl o tym, jak Los staje się wynikiem osobistego wyboru drogi życiowej. Zanotowana przed laty myśl, że każdy idzie wyznaczoną drogą a gdy mu się drogowskazy pomylą, życie mu się pop.... Ta myśl też wskazuje na ograniczenia spowodowane przez Los.

Pomnik okulisty

Powoli ucicha wrzawa na temat niegodziwego zachowania młodych ludzi podczas uroczystości rocznicowych.

Zabieram głos w tej sprawie, bo dotknęła mnie boleśnie. Do końca powstańczego losu byłem na Starym Mieście. Nie brałem udziału w Powstaniu, nie brała w nim udziału Moja Matka- nie zostaliśmy wpisani na listę jego uczestników. Ja miałem 15 lat kilka miesięcy wcześniej w lesie pod Faleńcą składałem harcerskie przyrzeczenie na ręce harcmistrza Hawrota, byłem ministrantem, służyłem do Mszy w kościele na Długiej, zwanym kościołem garnizonowym. Matka, nauczycielka obierała kartofle w kuchni szpitala polowego na rogu Długiej i Podwała. Nie było nas na liście, nie dla nas były medale, zaproszenia na uroczystości i honorowe miejsca na trybunie.

Mogę mieć satysfakcję, że to nie mnie wygwizdali ludzie, dla których nie ma świętości. Jest nakaz pohańbienia i okazania pogardy, gwizdania i buczenia.

Nawet nie dla tych, co wtedy mieli tyle samo lat, co oni teraz, kiedy ich resztki są na uroczystości. Dlaczego, kiedy zapada cisza, oni mogą gwizdać i buczeć. Właśnie teraz. Pogwizdać?

Pisał przed laty poeta „na grób dziewczyny młodej siada, |w świat się od grobu patrzy błada,| włoką się za nią żal, tęsknica.” Pogwizdźmy? Pogwizdźmy, będzie wesolo.

Ja co roku publikuję zawsze ten sam tekst, czasem nieco zmieniony, dla pamięci lekarza, który poległ od kuli- być może gotębiarza, przebiegając ulicę do mnie, rannego.

Napisane 14 sierpnia 2006 roku

Noszę go w moim prawym oku. Nikt go nigdy nie widział, ja go nie widziałem też. Ale stale w każdej sekundzie, kiedy oczy mam otwarte, czuję go. Zawsze też płaczę z jego powodu. Jutro po południu będzie sześćdziesiąta druga rocznica od chwili, w której ten pomnik powstał. 15 sierpnia 1944 roku około godziny siedemnastej

pościsk uderzył w absydę kościoła dziś zwanego katedrą połową Wojska Polskiego, wówczas kościoła garnizonowego. Ja, piętnastoletni chłopak, służyłem do Mszy św. w tym kościele od 6 lub 7 sierpnia, tj od dnia, kiedy po opuszczeniu mieszkania przy ul. Ogrodowej znaleźliśmy się na Starym Mieście. Właśnie w podziemiach kościoła koczowaliśmy wraz z setkami innych warszawiaków. Razem z nami, znaczy ze mną, moją matką i bratem ledwo szła przez płonące ulice moja szkolna koleżanka, też harcerka, Henia, której rodzice poległi w obronie Woli. Szliśmy więc przez Ogrodową, Żelazną, Chłodną i Elektoralną do kościoła na Chłodnej, przez targowisko wokół Hali Mirowskiej, gdzie płonął stragan mojej matki, aż do Długiej, by znaleźć schronienie pod kościołem. Matka od razu zgłosiła się do powstańczego szpitala, który znajdował się w gmachu na rogu Długiej i Podwala. Tego samego popołudnia zgłosiłem się do zakrystii. Kilka razy w ciągu tych siedmiu dni służyłem do Mszy. Były jeszcze w kościelnych szufladach czyste i równo poukładane kaptańskie szaty liturgiczne, kilka chłopięcych komży, liturgiczne naczynia w szafach i na półkach.

O popołudniowej godzinie kapłan zakończył liturgię przeznaczoną na święto przypadające 15 sierpnia, pomogłem w rytynowych czynnościach zdejmowania szat i obaj jako ostatni z kościoła wyszliśmy. Ostrzał artyleryjski trwał, tzw. szafa grała prawie bezustannie. Usiadłem w podziemiu na ławce, jak od dni koło Heni, gdy zobaczyłem przed sobą ogień. Potem gdzieś spadałem wśród płomieni, aż spałem. Nie wiem, ile to trwało. Ratownicy odkopali gruzowisko, gdy weszło trochę świeżego powietrza, ocaleni odzyskali przytomność. O własnych siłach wyszedłem z tej piwnicy z piekącą twarzą. W jakimś wiadrze znalazłem wodę - to były pomyje - otarłem twarz, ból stał się jeszcze większy. Dalej nic nie pamiętam. Późno już w nocy leżałem na ławce w piwnicy. Rano okazało się, że mam spaloną skórę na twarzy i piekące oczy. Przyszedł okulista, tylko powiedział trzymaj się. Chwyciłem się ławki, ale nie o to mu chodziło. Bez znieczulenia,

w blasku świecy wyjął obce ciało. Robił to trzynastcie razy w ciągu trzynastu dni. Bo za każdym razem wydawało mi się, że już nie boli. Ostatniego - jak się potem okazało - już nie wyjął. Przechodząc przez ulicę, właśnie do mnie, zginął od zabłąkanej kuli. Ten ostatni tkwi do dziś w gatce ocznej, powoduje łzawienie, oko nie widzi. Noższą więc w swoim oku ten mój prywatny pomnik okulisty i będę go nosił do końca życia. A kiedy już zmienię miejsce pobytu ze statego na wieczny, postaram się wśród aniołów odnaleźć Okulistę, by odśpiewawszy Alleluja, złożyć mu hołd. Chyba że nie trafię w tamte rejony. Wtedy swego szefa, Lucyfera, poproszę o jednowiecznościową dyspensę na wyżej wspomnianą peregrynację. Moich Czytelników zaś biorę na świadków tego przyrzeczenia.

Czyń ziemię sobie poddaną

Widziałem niejeden efekt dufnej ingerencji człowieka w tzw. Dzieło Przyrody. Rzekę skierowaną w inne miejsce, kanały przekopane między ładami, zapory, które mają powstrzymać i ograniczyć to, co nazywamy żywiołem. Wszyscy jesteście świadkami wysiłku ujarznienia energii. Poza drobnymi, nic nie znaczącymi w skali Wszechświata, żadne z nich nie zakończyło się powodzeniem. Przykładem pierwszym z brzegu jest wulkan, który na długi czas unieruchomił komunikację lotniczą - dumę i rzekomy triumf człowieka nad przestrzenią. Można zapytać każdego z dotkniętych klęską powodzi, po co budował w miejscu od wieków zalanych. Wyboru dokonał bez racjonalnego rachunku zysków i strat - też przecież kierując się rozumowymi argumentami i z racjonalnym celem. Dopadł go Los, wobec którego nie zachował pokory. Czy to cokolwiek zmieniło w jego życiu? Nadal tkwi, bo musi, bo już innego wyjścia nie widzi i nie ma. Nadal zachowuje w pamięci biblijną zasadę, że przeznaczaniem człowieka jest czynić ziemię sobie poddaną. Nawet wobec nieubłaganego Losu?

Tu miejsce na myśl o tym, jak Los staje się

wynikiem osobistego wyboru drogi życiowej. Zanotowana przed laty myśl, że każdy idzie wyznaczoną drogą a gdy mu się drogowskazy pomyłają, życie mu się pop.... też wskazuje na ograniczenia spowodowane przez Los.

Nie można się z Panem nie zgodzić! - pisze w liście p. Julia. - *Bliska rodzina wybudowała dawno temu dom przy rzece, bo tak pięknie wszystko z okien widać. Od wielu lat nie tylko dziadkowie, ale i ich dzieci a teraz już wnuki - każdego roku mają powódź. Woda wdziera się do piwnicy, zalewa wszystko, podchodzi do schodów a oni kupują najnowocześniejsze pompy i inne urządzenia, które pomagają im w walce z żywiołem. Można było tego wszystkiego uniknąć, tylko że „widok z okien” musiałby ulec zmianie.*

Zrozumieć świat

Wobec tego, że Los przestaje odgrywać rolę, jaką odgrywał dotychczas, powstaje konieczność rozumienia świata jako otoczenia, w którym przyszło mi żyć w otoczeniu tym i tutaj. Innym niż to, które tworzyłem sobie i innym przez całe dorosłe życie. Po raz kolejny przywołuję poetę sprzed ponad dwustu lat, bo dyskurs z nim uznałem za godny dnia dzisiejszego. Pisał: **Za każdym krokiem w tajniki stworzenia coraz się dusza ludzka roz-**

przestrzenia i większym staje się Bóg. O ile za ważne uznaję słowa poety o postępującym rozwoju intelektualnym wraz z postępowaniem w rozwoju cywilizacyjnym gdy pisze, że coraz się dusz ludzka rozprzestrzenia, o tyle poddaję wątpieniu w coraz większe rozprzestrzenianie się Boga. Czy tym samym Bóg staje się coraz większy? W ciągu tych dwustu lat, jakie minęły od czasu *belle epoque* świat się zmienił. Tamtego świata dawno już nie ma, a zmiany dotknęły wszystko. Nie zmienił się jednak Bóg, wedle teologicznej doktryny- zarówno chrześcijańskiej jak i doktryn niechrześcijańskich. Nie stał się większy jako konkurent Losu. Nadal zdani jesteśmy na jego działanie. Nadal podlegamy przypadkowi mimo, że się z Bogiem i z Losem żegnamy coraz intensywniej. Tyle, że coraz częściej przypadek potrafimy zdefiniować, odnaleźć jego działanie, zaradzić, jakby mu przeszkodzić lub wykorzystać do swoich ludzkich celów. Mojemu życiu świętu- ceremonii nadania doktoratu towarzyszyła homilia biskupa Chrapka. Zapamiętana po wsze czasy. Mówił, aby nie gniewać się na świat, gdy on się staje inny. Inny niż ten, który budowaliśmy przez całe swoje pracowite życie. Niestety, była to Jego ostatnia myśl, jaką przekazał nam, słuchaczom w dniu swojej śmierci.

O mnie

Urodziłem się pod Strzelcem. Jeden z wielu horoskopów głosi, że lubię zajmować się nauką, co uznaję za zgodne z prawdą. Jest też sąd, że lubię się mądrzyć, co też odpowiada rzeczywistości. Istotnie, filozofowanie jest moją ulubioną treścią wypowiedzi, co postronni uznają za mądrzenie się.

Urodzony w 1929 roku jako syn kresowego policjanta i wiejskiej nauczycielki, na nowogródzczyźnie, doktor nauk humanistycznych w dziedzinie historii, pedagog i filozof. stopień doktora uzyskałem w 72 roku życia w Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego za rozprawę o szkolnictwie na Kresach. Choć doktorat nie miał znaczenia dla kariery akademickiej, stał się początkiem

twórczości publicystycznej, głównie w formie elektronicznej.

W obu liniach: męskiej i żeńskiej pochodzenia szlacheckiego o tradycjach patriotycznych. Dziadek, wedle rodzinnej opowieści, brał udział jako członek Straży Obywatelskiej w ochronie tzw. Dworu Szlacheckiego w Mińsku Litewskim, gdy w 1920 roku przebywał tam Józef Piłsudski. Ojciec odznaczony za udział w wojnie polsko - bolszewickiej, także Medalem Niepodległości w 1932 roku.

Byłem członkiem Związku Szlachty Polskiej z numerem legitymacji 69 i herbem wadwicz.

Według niepotwierdzonej legendy Stankiewiczze posługiwali się herbem. Wadwicz.



Stankiewiczowie w mińskim województwie i mścisławskim.
Kazimierz Stankiewicz w mozyrskim powiecie. Adam i Krzysztof w mścisławskim.

Wadwicz



WANDWYCZOWYE – Genus Polonicum,
[viri] recti et moderati.

WADWICZOWIE – Ród polski, [mężowie]
sprawiedliwi i powściągliwi.

Jan Długosz, Insignia, 26

Mój dorobek

1994 - 2001 Zabiegi o utworzenie uniwersytetu trzeciego wieku w Słupsku 1997 - 2004 – Klub Emerytów „70”;
2001 - doktorat, nagroda w konkursie Karty Prywaciarze, udział w wystawie Prywaciarze;
2004 - Uniwersytet Trzeciego Wieku w Słupsku;
2006 - film „Wasz Kresowiak” w cyklu Szansa na życie reż. Anna Smolar, TVP 1;
2007 - Udział w międzynarodowej konferencji filozofów, Słupsk, Bałtycki Festiwal Nauki, Słupsk;
2008 - Udział w międzynarodowej konferencji historyków, Zielona Góra;
2009 - 2013 Wykłady w Uniwersytetach Trzeciego Wieku;

Publikacje

1958 - Korepetycje, (Rodzina i Szkoła); Radio na lekcji, (Radio i Świat);
1962 - Eksperymenty pedagogiczne, (Nowa Szkoła);
1965 - Wspomnienia wychowawcy, (Rodzina i Szkoła);
1969 - Uniwersytety Ludowe i ich pierwowzór, Szczecin (maszynopis);
1972 - Fluktuacja załóg pracowniczych, (Szczecin) maszynopis;
1974 - Stosunki międzyludzkie w szczecińskich spółdzielniach pracy, (Szczecin) (maszynopis);
2001 - Magister- stolarz w: Prywaciarze, Warszawa;
2002 - Był taki ksiądz, Słupsk;
2003 - O szczęściu. w: Veritas una, sed doctrina multiplēt (Podlaska Akademia Pedagogiczna);
2004 - Znad Szczary nad Słupię, (Grodno); Godność i honor, (Słupsk); Sens, jakość i wartość życia (Słupsk);
2005 - 2009 blog Ławeczka, Kresowiak, Samovar (francuski);
2006 - Działalność seminariów nauczycielskich..., (Toruń); W kręgu seniorów, (Kraków)
Nieznana korespondencja Tadeusza Kotarbińskiego Warszawa, Straż Przednia, Słupsk;
2009 - Patriotyzm w globalnej wiosce, Zielona Góra;
2015 - Igraszki z Losem, Słupsk, Fascynacja gwiazdami (Słupsk);

Publicystyka, recenzje, wykłady w uniwersytetach trzeciego wieku: Gdańsk, Gdynia, Kwidzyn, Malbork, Zielona Góra.



Od lewej: Alicja Maziejuk, dr Marianna Borawska, dr Piotr Dołek, prof. Roman Tomaszewski, Joanna Suska, Zdzisław Stankiewicz.



fot. Jan Maziejuk